SEN NOCY ŻYDOWSKIE NOWOROCZNEJ

[illegible]



SEN NOCY NOWOROCZNEJ

SZEM-TOB

ZŁOTA LEGENDA

ŻYDOWSKA

SERJA DRUGA:

SEN NOCY NOWOROCZNEJ

I INNE OPOWIEŚCI ŻYDOWSKIE

LWÓW
WYDAWNICTWO KSIĘGARNI M. H. RUBINA

SZEM-TOB

SEN NOCY NOWOROCZNEJ

I INNE OPOWIEŚCI ŻYDOWSKIE

Z 14 RYCINAMI

LWÓW
WYDAWNICTWO KSIĘGARNI M. H. RUBINA

SPIS RZECZY.

KARTĘ TYTUŁOWĄ WYKONAŁ LUDWIK WEINBERGER
ILUSTROWAŁ EMIL KUNKE

DRUKIEM ARTURA GOLDMANA LWÓW, SYKSTUSKA 19. — TELEFON 8-74.

SEN NOCY NOWOROCZNEJ.

Dawno już temu żył w Erec-Izrael zacny kmieć, imieniem Abner. Choć pilnie uprawiał swą ziemię, nie zaznał błogosławieństwa Bożego. Powodem tego była jego niezgodliwa żona. Marnowała ciężko zapracowany grosz, nie dawała mężowi spokoju. Często był zmuszony uciekać z domu, by uniknąć kłótni i swarów.

Było to po żniwach; plony Abnera były bardzo marne. Żona przypisywała nieurodzaj niedbałej pracy męża. Nadomiar złego, mąż śmiał bez jej wiedzy w przededniu Nowego Roku z tak szczupłego plonu podarować ubogiemu sąsiadowi miarkę pszenicy. To też, gdy w wigilję Nowego Roku wszyscy wracali ze świątyni z sercem, napełnionem radością i składali sobie wzajemne życzenia „szczęśliwego Roku" — swarliwa żona, nie mogąc zapomnieć hojności męża, zaczęła go łajać i zamiast życzeniami przyjęła go złorzeczeniem. Biedny mąż, nie chcąc kłótnią i waśnią rozpocząć Nowego Roku, zostawił żonę i uciekł z domu. Udał się na cmentarz, by tam przenocować. Zasnął rychło, ale o północy zbudził go ze snu jakiś tajemniczy szmer. Zaniepokojony podniósł się, a gdy uważnie nadsłuchiwać zaczął, usłyszał rozmowę duchów. Roz-

mawiały ze sobą dwie duszyczki pochowanych tam dziewczynek.

„Wstań! zostaw swą mogiłę — rzekła jedna do sąsiadki — wznieśmy się do niebios. Teraz Nowy Rok, odbywa się sąd w niebiosach, usłyszymy, co przeznaczone ludziom w tym roku.“

— „Nie mogę ci towarzyszyć, odrzekła zagadnięta. Nie pochowano mnie w pośmiertnych szatach. Rodzice moi są bardzo biedni, dlatego owinięto moje ciało w słomę. Wstyd mi w takiem okryciu pokazać się w niebie. Aniołowie będą wytykać mnie palcami, wolę przeto zostać w mogile. Wzleć sama, dowiedz się, co się tam dzieje, a gdy wrócisz — opowiesz mi wszystko“.

Na chwilę rozmowa ucichła. Niebawem wróciła duszyczka z nieba, zbudziła sąsiadkę i rzekła: — „Czy wiesz, co przeznaczone jest rolnikom? Oto, kto wcześnie zasieje, darmo będzie się trudził, gdyż grad wybije mu cały zasiew!“

Więcej nie słyszał, bo zasnął twardo.

Nazajutrz wrócił Abner do domu, a ponieważ było święto, udał się znowu do świątyni, a potem pogodził się na pewien czas z żoną. Ale zapamiętał sobie rozmowę duszyczek, chociaż nie wiedział, czy to, co słyszał było jawą, czy snem. — To też, gdy nadeszła wiosna, zwlekał z zasiewem, mimo, że wszyscy rolnicy dawno już zasiali swe pola. Żona narzekała znów na jego lenistwo i pędziła go do roboty. I oto ziściła się przepowiednia! Grad zniszczył wszystkie zasiewy. Tylko on, który zasiał najpóźniej, bo z końcem wio-

sny — wyszedł cało z klęski gradowej. Cieszył się niezwykłym urodzajem i zebrał obfity plon.

*

W następny rok, w wigilję Rosz-haszany udał się Abner, tym razem z własnej woli, na cmentarz. O północy usłyszał znowu rozmowę tych samych dwóch dzieweczek: „Pójdźmy — rzekła jedna, do nieba, dowiemy się tam, jaki los czeka mieszkańców ziemi i jaki wyrok zapadnie na ten Nowy Rok“. — „Idź sama, moja droga duszyczko — odrzekła znów zagadnięta — wszak wiesz, iż nie mam odpowiednich szat pośmiertnych, w tym moim stroju słomianym nie mogę się pokazać w niebie. Wyśmiewać mnie tam będą Serafini i Cherubini i nikt nie zechce nawet spojrzeć na mnie. Pozostanę więc tutaj koło swej mogiły; ty zaś poleć sama i dowiedz się, co się dzieje wgórze.“ — Wkrótce wróciła śmielsza duszyczka z wyżyn i rzekła: „Kto późno zasieje, będzie głodny, gdyż wiatr posuszny zniszczy mu cały plon.“ Co dalej mówiła już nie usłyszał, bo go zamroczył głęboki sen.

Nadeszła znów wiosna. Abner śpiesznie zabrał się do roboty. Tym razem on pierwszy zasiał swą rolę. Doradzał też wszystkim, by nie zwlekali, bo szkoda każdego dnia; im wcześniej, tem lepiej. Rolnicy nie słuchali jego rady; pomni klęski gradowej roku minionego, nie spieszyli się z robotą. Znowu spełniła się przepowiednia duszyczki. Zawiał upalny wiatr z pustyni i zniszczył młody zasiew rolników, tylko starsze i silniejsze kłosy wyszły cało.

Abner znowu cieszył się stukrotnym plonem, a sąsiedzi podziwiali go, że tak dobrze zna pomyślną porę zasiewu.

*

Ciekawa żona Abnera nie dała mu spokoju i usiłowała wydobyć od męża tajemnicę, skąd wie, kiedy rozpoczynać należy pracę na roli.

Z początku wahał się, ale gdy mu doskwierała swoim jadowitym językiem — dla świętego spokoju opowiedział wszystko żonie, zaklinając ją, aby się przed nikim nie wygadała. Żona ucieszyła się tą wiadomością i przyrzekła mu solennie całą rzecz zachować w sekrecie.

Lecz dla tej kobiety było rzeczą niemożliwą, trzymać język za zębami. Niedługo nawet czekała na sposobność, aby całą rzecz wytrąbić, jak z szofaru na Roszhaszana. Posprzeczała się niebawem z matką biednej dziewczynki nieboszczki, pochowanej bez szat na cmentarzu. Chcąc ugodzić nieszczęśliwą matkę, wyrzucała jej swarliwa kobieta, że własne dziecko włożyła do grobu okryte słomą. Bez litości rozdarła ranę bolejącej matki. Przypomniała jej poniesioną stratę i naraziła ją na wstyd wobec ludzi. To też udręczona matka zalała się gorzkiemi łzami i nie mogła przeboleć wyrządzonej jej zniewagi.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Z nadejściem Nowego Roku udał się Abner po raz trzeci na cmentarz i położył się znów obok mogił dziewczynek. Czekał cierpliwie aż do północy. Tym

razem jednak usłyszał następującą rozmowę: — „Chodź, rzekła jedna duszyczka do drugiej, lećmy do nieba, tam usłyszymy, co wedle przeznaczenia boskiego, czeka ludzi w tym roku!“

— „Zostaw mnie w spokoju, nie mówmy o tem więcej, gdyż żywi podsłuchują nas. Nasze rozmowy doszły do uszu żyjących i stały się przyczyną smutku i łez“.

Abner wrócił z niczem do domu. Dzięki swej kłótliwej żonie, która nie umiała zachować tajemnicy i uszanować uczuć matczynego serca, nie dowiedział się już nigdy, kiedy zasiewać pole, by mieć obfity plon.



KADISZ.

Zerwała się gwałtowna burza. Wicher wył przeraźliwie, unosząc ze sobą wszystko co mu wpadło w drogę. Huczały gromy, błyskawice przeszywały powietrze, szalały rozpętane żywioły w przestworzu.

Wśród takiej niepogody znalazł się Rabi Akiba w podróży. Niepodobna było w dalszą puszczać się drogę. Mistrz zmuszony był zatrzymać się, by przeczekać burzę. Szukając jakiegoś schronienia, odkrył wpobliżu mur, pod którym się skrył. Znużony położył się na jakimś kamieniu i zdrzemnął niebawem ze znużenia.

Nagle jakieś okropne jęki doszły jego uszu. W przekonaniu, iż to głos rozpaczy wołający o ratunek, zerwał się i pośpieszył w kierunku, skąd głos go dochodził. Straszny widok przedstawił się jego oczom. Oto mężczyzna zupełnie nagi, o ciele zczerniałem, jak węgiel, dźwigał ogromne brzemię drzewa na barkach i pędził co tchu starczyło, jak szczute zwierzę. Kilkakrotnie zataczał się pod swym ciężarem i padał, a podniósłszy się znów gonił dalej, coraz szybciej, bez prze-

stanku, bez wytchnienia. Przytem przeraźliwie krzyczał i wzdychał ciężko.

Wzruszony do głębi Rabi, zatrzymał nieszczęśliwego i spytał: „Z jakiego to powodu, powiedz niebogi, znosisz takie piekielne męki? — Jeśliś niewolnik, — mówił Akiba, — a twój nieludzki pan zmusza cię do srogich robót, wykupię cię z jego rąk i wrócę ci wolność. Jeśli jednak ubóstwo zniewala cię do tak ciężkiej pracy, dam ci pieniędzy, ile potrzebujesz, a skończy się twa niedola."

Nieszczęśliwy człowiek zalał się łzami i odrzekł: „Zacny Panie! Dobra twa wola w niczem mi dopomóc nie zdoła. Żadnymi skarbami świata mąk mych zasłużonych okupić nie można, gdyż już nie należę do żyjących. Księga mego życia już zamknięta, zapisane są tam niezliczone me przewinienia. Teraz otrzymuję zasłużoną karę. Gorzko pokutuję za ciężkie grzechy mego żywota."

„Czem byłeś za życia? pytał go mistrz, i cóż takiego uczyniłeś?"

„Byłem bogatym i poważanym obywatelem. Piastowałem godność przełożonego i władcy stołecznego grodu. Znajdowałem wszędzie ślepy posłuch, a skinienie me było dla wszystkich rozkazem. Lecz na przełożonego i opiekuna miasta brakło mi dwóch przymiotów: sprawiedliwości i litości.

Pastwiłem się nad biedakami, krzywdziłem bez miłosierdzia sieroty i wdowy, największymi natomiast względami cieszyli się u mnie bogaci i możni. Ich to

zawsze i wszędzie wywyższałem, o nich miałem staranie i wraz z nimi żyłem, jak pasorzyt, kosztem krwi i potu słabszych. Nie myślałem o narodzie mym, ani o religji, jeno o tem, by zyskać poklask i rozgłos. Pełny byłem fałszu i obłudy. Zaślepiony w swem bogactwie, nie zastanawiałem się nad mymi uczynkami. Czyniłem tylko to, co przysparzało mi sławy lub sprawiało przyjemność. Dlatego też teraz niema dla mnie zbawienia. Moja grzeszna dusza nie zazna więcej spokoju, męki moje nigdy się nie skończą."

Ten żal i skrucha pokutującej duszy wzruszyły r. Akibę. Pełen współczucia zapytał: „Czy nie masz znikąd promyka nadziei, że doznasz kiedyś zbawienia?"

„Niestety,wieczna ciemność bez promyka światła"— jęknęła potępiona dusza. „Jam stracony na wieki. Sam nie dbałem o swoją grzeszną duszę za życia i nie zostawiłem po sobie nawet dziecka, któreby pomyślało o zbawieniu duszy mojej. Gdyby bowiem syn mój, przed całym zebranym w świątyni ludem, ku pamięci ojca wygłosił uroczyście: „Szma Izrael, Adonaj echad!" gdyby potomek mój odmawiał dla mego zbawienia modlitwę „Kadisz", a ja, odrodzony przez to w mym synu sławiłbym imię Wiekuistego, wówczas mógłbym się spodziewać łaski Najmiłosierniejszego. Lecz biada mi, nie myślałem o tem nigdy. Chociaż zostawiłem siedmiu synów, żadnego z nich nie starałem się wychować na dobrego Żyda. O wszystkiem im mówiłem, tylko nie o wierze i tradycjach ojców. Wpoiłem w nich

pogardę dla naszych świętości. Nie uczyłem ich świętego języka naszego, nie pokazałem im naszych świętych ksiąg, a wspaniałe modlitwy nasze są im obce.

Starsi już nie przyznają się do swoich, udają Rzymian i naśladują pogańskie zwyczaje. I mój najmłodszy, siedmioletni syn, będzie do starszych podobny, bo niema nikogo, ktoby się zajął jego wychowaniem. Znikąd więc nie mogę się spodziewać zbawienia."

„Uspokój się." rzekł Akiba. „Ja twemu najmłodszemu synowi zastąpię ojca. Zwrócę mu zatracone skarby przodków, nauczę go odmawiać modlitwę „Kadisz". Dla zbawienia twej duszy będzie głosił w domu bożym imię Boga jedynego. Wymień mi tylko imię twe, imię twej rodziny i miejsce jej pobytu."

Potępieniec odrzekł: „Wołano mnie Ambrozjusz, żonie na imię Szasznabit, a mieszka ona obecnie w Ludkii," poczem znikła postać czarnego męża i widzenie pierzchło.

*

Akibie zdawało się, że się obudził z głębokiego, strasznego snu. Zdziwiony rozejrzał się wokoło i spostrzegł, że za murem, pod którym spoczywał, znajduje się cmentarz, miejsce, na którym znachodzą śmiertelni po trudach życia wieczny spoczynek.

Tymczasem burza minęła, wicher ustał i niebo znów się wypogodziło. R. Akiba był ciągle jeszcze pod wrażeniem wizji. Nie był pewny, czy widział to wszystko we śnie, czy na jawie. Powziął jednak silne postanowienie spełnić dane zmarłemu przyrzeczenie.

Natychmiast wybrał się do Ludki, a przybywszy na miejsce, począł się wypytywać o zmarłego. Dziwili się bardzo mieszkańcy, iż pobożny Akiba dowiaduje się o człowieka, napiętnowanego jako zdrajca wiary i narodu, osławionego, jako najwyższy krzywdziciel i tyran swego ludu.

W rzeczy samej udało się R. Akibie odszukać dom Ambrozjusza. Mistrz dokładał wszelkich starań, by nawrócić pozostałą wdowę z najmłodszym synem. Starszych synów uważał za straconych dla żydostwa. Nie znając bowiem wiary swych ojców, wychowani w duchu pogańskim, porzucili już dawno religję żydowską, stali się nawet najzaciętszymi wrogami własnego narodu i zdrajcami ojczyzny. Tem gorliwiej kierował wychowaniem najmłodszego, siedmioletniego chłopca, którego przyjęto, jakby nowonarodzonego, do Przymierza Abrahamowego.

Lecz niełatwe miał Akiba zadanie do spełnienia. Zdawało mu się niekiedy nawet, iż mimo usilnych starań nie dopnie zamierzonego celu.

Młoda dusza dziecka przesiąkła już w samem zaraniu życia zaraźliwym jadem odszczepieństwa. Krnąbrny, uparty chłopiec, zuchwały i zły, z wkorzenioną pogardą w sercu dla wszystkiego, co tchnęło żydostwem, wyśmiewał poważnego Mistrza i drwił z jego nauk. Smuciło to do głębi Akibę, gdyż obawiał się, że wychowanek jego nie stanie się godnym, aby zbawić duszę ojca. Rabi modlił się tedy gorąco do Boga o pomoc.

*

Jednego dnia usłyszał Bat-kol t. j. głos z nieba, wołający: „Akibo! Pocóż tyle trudów zadajesz sobie dla tego rodu jaszczurczego, zepsutego już w samym zarodku? Zaniechaj wysiłku dla tego pokolenia zwyrodniałego, którego się sam Bóg wyrzekł po wsze czasy!“

Wielki nauczyciel, upadł na ziemię przed Stwórcą i błagał: „Panie świata! Znane Ci są myśli mego serca. Opiekowałem się tą sierotą, tkwiącą w grzechu, by ją pozyskać dla Twego ludu. Dobry pasterz zajmuje się nietylko dobrą i zdrową trzodą; owszem świętym jego obowiązkiem jest pamiętać także o chorych, leczyć je i uzdrowić. Zbłąkane i zatracone owieczki wyszukiwać i sprowadzać napowrót do stada, nakarmić i napoić w miłości nieprzebranej.

Wszak to dusza żydowska. Grzeszyli jego rodzice, bo wielka była pokusa, a słabe podstawy wiary; musieli tedy upaść. Oświeć, Najdobrotliwszy, duszę i umysł sieroty, zmiękcz jego serce, by mógł Ciebie pojąć i stać się pożytecznym członkiem Twego narodu!“

I wysłuchał Pan prośby swego wiernego sługi; światło prawdziwej wiary znalazło przystęp do duszy chłopca. Z każdym dniem stawał się posłuszniejszy, lepszy i pojętniejszy. Pokochał wiarę swych ojców i chętnie uczył się świętych słów Zakonu bożego. Żydowskie dziecko wróciło do żydostwa.

*

Uszczęśliwiony nauczyciel zabrał ze sobą wychowanka do świątyni i tu wobec wszystkich zgromadzo-

nych nabożnych głosił sierota prastare wyznanie wiary żydowskiej: „Szma Izrael — Adonaj echod“, „Słuchaj Izraelu! Bóg Twój jest jedyny!“ Po skończonem nabożeństwie sierota odmówił modlitwę „Kadisz“: „Niech będzie sławione i święcone Jego imię na świecie, który stworzył wedle Swej woli! Oby państwo Jego się ustaliło na wieki! Oby spłynął z nieba pokój na cały Izrael!“, a cała gmina wtórowała mu „Amen! Niech będzie imię Pana pochwalone na wieki!“ Jisgadel w jiskadesz szmej raba.

Następnej nocy we śnie widział R. Akiba zmarłego, który oznajmił mu, że w czasie, gdy syn jego głosił chwałę Boga, grzeszna dusza znalazła łaskę u Najmiłościwszego i wróciła do spokoju i wiecznego zbawienia.

Nazajutrz Akiba obudziwszy się, przypomniał sobie sen swój i radował się w sercu, że zbawił dwie dusze.



OSTATNI ARCYKAPŁAN.

Syjon legł w gruzach, naród pokonany dźwiga ciężkie kajdany. Kapłani, słudzy Pana zginęli od miecza wrogów jak bezbronne owieczki.

We wspaniałej swej grozie gorejąca świątynia rozjaśniała ciemności nocy, niby straszna płomienna pochodnia.

Okolicę całą zalegało grobowe milczenie, przerywane tylko od czasu do czasu jękiem konających lub łoskotem walących się słupów i szczątków domów.

Nagle wśród zwalisk zarysowała się ciemna postać ludzka. Przy blasku pożarnym zajaśniały purpurowe szaty, wyszyte złotem. Od purpury ich odbijała majestatycznie lśniąca śnieżną białością głowa starca, ozdobiona szczerozłotym djademem. Biała, długa broda spadała na piersi, na których błyszczał ornat kapłański „Urim-wetumim".

Był to arcykapłan, wierny sługa Boży.

On jedyny uszedł rąk morderczych. Jego jednego oszczędził wróg, nie mając odwagi podnieść ręki na pomazańca boskiego.

Wśród ciemności nocy, gdy wszystko, co żyło, po-

grążone było w głębokim śnie, wyszedł starzec, z pośród ruin świątyni, stanął na zwalonym filarze, wzniósł ku niebu drżącą ze starości prawicę, w której trzymał klucz od świętych podwoi domu bożego i powiódł wokoło bolesnym wzrokiem.

Okolica, jak daleko okiem sięgnął, zasiana była trupami kapłanów i lewitów.

Rozpaczliwy wzrok wzniósł ku górze i głuchym głosem zawołał: „Boże Zebuoth! Takiegoż to losu doczekała się siwa moja głowa! Obym był raczej nie dożył tej chwili!

Uczyniłeś mnie klucznikiem Swego domu i stróżem narodu Swego. — Sądziłem, że Ci służę wiernie całe życie!

Lecz biada mi! Biada nam wszystkim, całemu Izraelowi! Opuściłeś swój naród; porzuciłeś święty gród. W gruzach leży Twa świątynia. Kapłani i lewici w pień wycięci!

Źle zapewne zarządzałem domem Twoim, skoro barbarzyńcy wtargnęli do świętych jego komnat. Złym byłem pasterzem trzody Twej, skoro ją rozszarpały drapieżne wilki.

Moja to wina! Nie uważasz mię za godnego stróżowania nadał przybytkowi Twemu.

Więc przebacz mi, Panie mój, w wielkiem Twojem miłosierdziu! Oto w pokorze oddaję Ci klucz Twego świętego Przybytku, odbierz go w łasce Swej.“

Przy tych słowach ukląkł i wyciągnął ku niebu drżącą prawicę z kluczem od świętych podwoi.

W tejże chwili błyskawica przeszyła powietrze, jakaś tajemnicza ręka sięgnęła po klucz i zaniosła go przed tron Przedwiecznego....

Starzec opuścił rękę, nachylił się ku ziemi, a gorące łzy toczyły się powoli po licu jego, spadając na gruzy i zgliszcza domu bożego. Usta poruszały się w cichej żarliwej modlitwie za ziemię ojczystą, za nieszczęśliwy naród.

Poruszały się coraz powolniej, słabiej... wreszcie słowa zamarły mu na ustach...

Grobowa cisza zaległa wokoło. Głęboki sen ujął zwyciężonych i zwycięzców. — — —

Gdy zabłysnął poranek, oświecił leżące na gruzach świątyni martwe zwłoki ostatniego arcykapłana.



MISTRZ I BOHATER.

Mojżesz przebywał na Synaju przez 40 dni i 40 nocy. Nie żywił się strawą ludzi śmiertelnych, nie jadł chleba, wody nie pijał, jeno zagłębiał się w mądrości najwyższej.

I oświecił go Pan i pozwolił mu ujrzeć, czego dotąd nie oglądało żadne oko ludzkie. Odsłonił przed nim wszelkie tajemnice bytu. Otwartą mu była księga dziejów narodu izraelskiego od początku do końca wszystkich dni. I zatopił się Mojżesz w tej księdze. Przy czytaniu rozjaśniło się jego oblicze, napełniło się radością jego serce. Widział swój lud na własnej przecudnej ziemicy. Jaśniał przed oczyma jego przybytek na Morji, słyszał potężny głos bohaterów, mowę proroków i pienia psalmistów. Nagle zatrwożył się. Ogarnęła go rozpacz. Dojrzał niedolę żydowską, rozsypkę i tułactwo, usłyszał brzęk kajdan. Ujrzał łunę pożarów, zgliszcza i ruiny. — — —

Boże! — biadał mistrz, — jedna owieczka pośród tylu żarłocznych wilków!

„Uspokój się mój wierny sługo!“ — rzekł Pan — „oto daruję ci dla Izraela najcenniejszy klejnot z mego

skarbu, świętą Torę. Gdy naród Twój nią się przejmie, powstanie znowu równy tobie wielki genjusz, on ich obdarzy życiem wiecznem". „Pozwól mi, Panie, poznać tego męża opatrznościowego," — prosił wierny sługa. — „Spełnią się twe życzenia" — odrzekł Najmiłosierniejszy, — „patrz wdał!"

Przed oczyma Mojżesza ukazał się uroczy krajobraz otoczony wokół niebotycznymi szczytami Libanu, na których stokach szumiały smukłe cedry. Na rozległych halach pasły się liczne stada. Pośród nich stał rosły pasterz oparty o gruby, sękaty kij i dumał: „Już czas mi zabrać się do nauki. Od dziecka sierota, bez ojca i matki, nie mam nikogo na świecie, żadnych krewnych ani opiekunów. Pochodzę z prostego roboczego ludu. Zawsze samotny, zawsze zajęty trzodą, nie uczyłem się dotąd niczego.

Nie znam żadnej modlitwy, nie rozumiem nawet dobrze mowy naszej! Jużem dorosły mężczyzna, może jest już za późno. Czyż uda mi się jeszcze nauczyć się bodaj czegoś?" — — —

I znów ujrzał Mojżesz: Ten sam pasterz dźwiga na swoich silnych barkach kłody drzewa, rąbie toporem i sprzedaje opał po domach wielkiego miasta. Za uzyskany grosz kupuje czarny bochen chleba, potem spieszy do szkoły i uczy się bez wytchnienia do późna w nocy o głodzie i chłodzie. — — —

*

I oto widział dalej Mosze rabejnu:

Najwyższa akademja w Jabnie. W olbrzymiej sali

na podwyższeniu siedzi najwybitniejszy nauczyciel żydowski, a u stóp jego niezliczone zastępy młodzieży, która przybyła ze wszystkich stron słuchać nauk z ust Akiby ben Józefa. A rabi Akiba objaśnia słowa Zakonu, objawionego na Horebie. Twarz jego jaśniała jak zorza, a słowa jego brzmiały jak pieśń cherubinów. Młodzież z upragnieniem słuchała jego nauki i przejęła się jego wzniosłym duchem. Długo nie mógł Mojżesz oderwać oczu od tej nadziemskiej postaci mistrza, a z rysów jego twarzy poznał owego pasterza z gminu. Wreszcie zawołał: „Panie! dlaczego mnie powołałeś do wręczenia Izraelowi Twego Zakonu? — Wszak ten mąż, przed którym się korzę, byłby godniejszym tego posłannictwa?“

„Synu Amrama, taka jest moja wola, niepojęta dla śmiertelników“.

„Panie! racz mi dać poznać, czy ten mąż opatrznościowy kocha również swój naród i swoją ojczyznę tak jak ja. Czy i jemu droższą nadewszystko jest wolność Izraela i sława ojczystej ziemi?“ — — —

„Spełni się twoje życzenie — patrz!“

*

I czas odsłonił swoją zasłonę tajemną i widział Mojżesz przed sobą Judeę spustoszoną przez Rzymian.

Jerozolima leży w gruzach, ze świątyni zostały zgliszcza. Lud żydowski dźwiga jarzmo niewoli, cięższe niźli ongiś w Micrajim. — Akiba zrywa się jak lew z postanowieniem skruszenia pęt. Objeżdża dalekie kraje i wzywa Żydów do nowej wojny — do

walki o wolność ojczyzny. Zamyka szkołę, uzbraja przeszło 24.000 swoich uczniów. Rozsyła po całym kraju posłów, oznajmiając, iż nadszedł czas, w którym zjawi się oczekiwany zbawiciel ojczyzny. Na jego zew śpieszy zewsząd dziarska młódź. Zstępuje z hal Hermonu i Taboru zacięty góral; — hardy chłop żydowski, pozostawia pług i lemiesz, ostrzy kosę, śpieszy skruszyć okowy i wygnać wroga z ukochanej, świętej ziemicy.

Z czterech stron świata dążą Żydzi ku swej ziemi. Niezliczone zastępy zbierają się, gotowe do czynu w dolinie Saronu. Zapadła noc, przecudna jak marzenie. Księżyc w pełni, jasne i łagodne światło rozlewa wokoło. Zebrani szepcą jakby do dobrotliwego księżyca: „Jak nie możemy dotknąć się ciebie, tak niech nie potrafią wrogowie dosięgnąć nas, by nam szkodzić". I klną głośno: „Aby padła na nich trwoga i postrach, niech zdrętwieją jak kamień". (Tipol alejhem ejmata). Zbliża się nowy oddział powstańców — obecni pytają ich o hasło: Odpowiadają: „Dawid melech izrael chaj w'kajim". (Dawid król izraelski żyje wiecznie). „Simon-tob, umazał-tob". (Dobry wasz znak i hasło wasze). „Aby szczęśliwy los był waszym udziałem i całego Izraela — Amen!" — odpowiadają zadowoleni i podają sobie dłonie na przywitanie. Szalom alejchem — alejchem szalom!

Na cześć miłych braci z dalekich stron rozlega się z ust tysięcy junaków stara pieśń:

„Kol dodi hinej ba".

Słyszę miłego, jak mnie zdala woła,
Przybiegł chyżo przez miasta i sioła. —
Przybiegł jak sarna i rączy jeleń —
Stanął przed domem, okryty w zieleń —
Patrzy przez okno, pogląda przez kraty —
Woła: powstań miły, wdziewaj swe świąteczne
szaty. (Cant. 5).

*

Serce napełniło się nadzieją powodzenia i zwycięstwa. Nagle rozległ się ze strony pustyni tętent kopyt końskich. Liczne zastępy jeźdźców na chyżych rumakach przypędziły i stanęły pośrodku zebranych. Na ich czele na ognistym rumaku siedział olbrzymi, tajemniczy rycerz. Od głowy do stóp w czarnej, kutej ze stali zbroi, tylko na spiżowej ogromnej jego tarczy jaśniała złota gwiazda Dawidowa. Chorąży rozwija nad nim biało-niebieski sztandar z napisem „Chejrut“, Wyzwolenie.

Tajemniczy wódz wydobył z pochwy obosieczny miecz i krzyknął: „Bracia! przysięgam walczyć aż do ostatniej kropli krwi za wyzwolenie mojej ojczyzny. Nie złożę napowrót miecza do pochwy, aż Judea będzie wyswobodzona i Jerozolima odbudowana!“

Wtem niespodzianie ukazał się sędziwy Akiba. Lud z czcią witał niestrudzonego mistrza. Naczelnik zeskoczył z konia, padł przed mistrzem na ziemię. Akiba kładzie dłonie na głowę bojownika, jak ongiś Mojżesz na głowę Jozuego i błogosławi mu mówiąc: „Obyś się stał pomazańcem i zbawicielem Izraela!

Oby twa gwiazda zajaśniała nam szczęśliwie, jako jest napisane w Torze: „Wyjdzie gwiazda z Jakóba i skruszy okowy tyrana“. Zwracając się do ludu, rzecze: „Hasłem waszem niechaj będzie „Szma“! Walczcie dzielnie za wiarę w jedynego Boga i za waszą świętą ziemię ojczystą“. Pełen otuchy i zapału lud woła: „Niech nam żyje nasz mistrz Akiba, niech nas prowadzi do zwycięstwa niepokonany nasz bohaterski wódz „Syn gwiazdy — Bar Kochba!“.

*

„Wskaż mi, Panie“, — prosił Mojżesz — jaka nagroda czeka tego genjusza za wszystkie jego nadludzkie wysiłki, za żmudny trud całego jego życia?“

„Wielkie jest twe żądanie,“ — odrzekł Pan — „ale z miłości ku tobie uczynię i temu zadość. Patrz wdal — odsłonię ci rąbek przyszłości.“

Mojżesz zwrócił swój wzrok w wskazaną stronę... Co za groźny widok przedstawił się jego oczom: Bethar, ostatnia warownia Bar-kochby, leży w gruzach. Wszędzie zwaliska i zgliszcza, jak grobowe pomniki. Niepodległość żydowska pogrzebana. Pobojowisko zaścielone niezliczonymi trupami. Potok krwi, jak czerwona wstęga wije się daleko i wpada z szumem do morza, zabarwionego szkarłatem.

Żydzi walczyli jak lwy, wytrwali lata, zgnietli liczne armje rzymskie. Lecz przemoc wroga i podła zdrada, pokonały nieugięty naród. Nikt z bojowników się nie poddał, nikt nie prosił łaski, nie złożył broni. Walczyli mężnie, drogo sprzedawali swe życie. Topniały

legjony rzymskie. Wyczerpały się naostatku siły powstańców. Z mieczem w ręku polegli na polu chwały. A oto pomiędzy poległymi bojownikami znalazł się również tajemniczy bohater i chrobry wódz. Leży spokojnie, jakby zasnął jeno na chwilkę po trudach i znojach, w czarnej zbroi od stóp do głowy, groźny, olbrzymi rycerz. Kurczowo dzierży w prawicy obosieczny miecz, zawsze gotów do boju. Okrywa go spiżowa tarcza, na której jaśnieje złota gwiazda Dawidowa. — — —

*

Naostatku ujrzał Mojżesz wyżynę Morja. Wszędzie zwaliska, sterczą tylko szczątki zachodniego muru. Tutaj sprowadzają Akibę, skutego w kajdany. Otacza go zgraja barbarzyńców, męcząc go okrutnie. Zdziczała tłuszcza katów miażdży w kleszczach zbolałe jego kości, — żelaznemi zgrzebłami drze pasy z jego ciała. Mistrz w milczeniu znosi piekielne katusze i nie wydaje żadnego jęku. Okrutny cesarz Hadrjan pyta zdziwiony: „Czy ty Akibo jesteś czarownikiem, że nie odczuwasz bolu?“ Konający odpowiada: „Przez całe swe życie życzyłem sobie okazji, bym mógł poświęcić Imię Pańskie jak nam nakazuje nasza Tora: W'ahawta — Miłuj Boga, Pana swego, całem sercem, całą duszą i całą swoją istotą. Oto nadeszła chwila, w której mogę spełnić to przykazanie Pańskie.“ I wśród piekielnych mąk z okrzykiem „Adonaj echod“ wyzionął ducha.

Cisza zapanowała, tylko ze strony ruin nieliczna

gromadka uczniów zalewała się gorzkiemi łzami. Na widok zgonu mistrza, podniósł się najstarszy z uczniów Rabi Szymon ben Jochaj i zaczął: „Jisgadel wjiskadesz szmej raba".

*

Boże mój! — zawołał Mojżesz — „zu Tora, wzu schara!" „To jest Tora i taka jej nagroda? Taka jest zapłata za cnotę, za naukę, za bezgraniczną miłość narodu i ojczyzny?" „Uspokój się synu ziemi" — ozwał się głos Najmiłosierniejszego. — Nie badaj tego, co wyjaśni dopiero daleka przyszłość. Połóż rękę na usta i ufaj Panu. Czyny i cierpienia tych bohaterów i męczenników nie będą zapomniane. Zasiew ich nie pójdzie na marne. Akiba i Bar-Kochba staną się wzorem dla najpóźniejszych pokoleń. Jak gwiazdy oświecą oni ciemną noc galutową, aż nastąpi wielki dzień wolności dla Izraela. Minie czas niewoli. Wygnańcy powrócą do starej matki, do niezapomnianej drogiej Ojczyzny, odrodzeni i zbawieni."

Mosze - rabejnu pojął słowa Boże i rzekł: „Bóg jest sprawiedliwy, nie masz u niego nieprawości!".



KOTEL MAARAWI.

Na wyniosłym szczycie Morji wznosi się stary mur. Wzniesiony jest z olbrzymich, zczerniałych ze starości brył. Sterczy tak dumnie od tysięcy lat. Uderzały weń wichry z czterech stron świata, usiłowały go skruszyć, lecz bezskutecznie. Ognie chciały go pożreć, potopy porwać, ale stary mur oparł się wszystkim wrogim żywiołom. Jest to zachowana zachodnia ściana świątyni Pańskiej, ostatnia pamiątka naszej świetnej przeszłości.

Tajemniczy ten mur, ugruntowany jest na fundamencie z siedmiu cudownych głazów. Siedmiu naszych praojców-bohaterów zbudowało jego fundament, każdy z nich położył swój kamień.

Pierwszym fundatorem był Adam, ojciec wszystkich ludzi. Opuszczając Eden, zabrał stamtąd jeden kamień, który świecił jak jutrznia. On to rozjaśniał mu ciemności i wskazywał drogę na ponurym padole ziemskim. W utrapieniu i niedoli przypomniał mu utracony raj. Gdy pierwszy człowiek przybył po długiej tułaczce na Morję, wzniósł tam swój namiot i posta-

nowił tam pozostać. Na szczycie góry położył swój klejnot z Edenu. Kamień służył mu jako ołtarz, przed którym modlił się do Boga o szczęście dla swych potomków. „Stąd niech wyjdzie światło nauki, słowa miłości i zgody dla całego rodu ludzkiego! Ki micyjon tejce Tora". — Kamień Adamowy nazwano kamieniem „miłości bliźniego".

Praojciec nasz Abraham, wraz z młodym pacholęciem Izakiem, położyli tam potem drugi kamień.

Na nim chciał ofiarować swego ukochanego jedynaka, posłuszny rozkazowi Pańskiemu. Kamień ten nosił miano „miłości Boga".

Jakób zmuszony był opuścić swój ukochany dom rodzicielski i udać się w daleki, obcy świat.

Na bezludnem miejscu, na szczycie Morji, zaskoczyła go noc. Ciemno było wszędzie, ni gwiazdki na niebie, ni światełka na ziemi; nie mógł postąpić kroku. Zdala rozlegał się ryk lwa, słychać było wycie wilków i hyjen. — Zebrał więc Jakób kilka kamieni i zrobił sobie legowisko. Strudzony, zasnął rychło. We śnie widział drabinę, łączącą niebo z ziemią. — Opatrzność czuwająca! — — —

Wstawszy rano zauważył, że kamienie zrosły się i tworzyły potężną opokę. Poświęcił ją i umieścił obok tamtych. Kamień ten był godłem złączonych w jedną całość pokoleń izraelskich i nazwano go „kamieniem zgody i braterstwa." — — —

Czwarty kamień ułożył tutaj najlepszy syn i najszlachetniejszy brat Józef-Hacadik, gdy wykonał ostat-

nią wolę wielkiego swego ojca i przeniósł go na wieczny odpoczynek do Erec-Izrael. Kamień ten nosił miano: „Cnota i niewinność“.

Samuel hanabi, ostatni sędzia, wypędziwszy z ojczyzny najeźdźców postawił tutaj kamień pamiątkowy i nazwał go „Eben haezer“. Kamień ten był symbolem „Miłości ojczyzny“.

Dzielny król Dawid, zdobywszy Jerozolimę, położył na Morji fundamentalny kamień pod świątynię Pańską. Na tym kamieniu przesiadywał ze swą cudowną lutnią. Tutaj ułożył i nucił wspaniały psalm: „Eben muasi habonim“. Kamień, który lekceważyli budowniczowie, stał się kamieniem węgielnym. — Był to kamień pieśni i natchnienia.

Siódmy i ostatni kamień położył tutaj król mędrzec Salomon. On nareszcie przystąpił do budowy domu bożego. Podczas kopania ziemi natknęli robotnicy na opokę, na której ufundowany jest glob ziemski. Z tej odwiecznej opoki udało się królowi wyciąć jeden wielki sześcian, który jaśniał jak najszlachetniejszy kryształ. Bryła ta była zaopatrzona ze wszystkich stron pieczęcią Przedwiecznego. Wyryte tam było słowo „Emet — prawda“. Kamień ten był symbolem „prawdy“. Król Salomon ułożył następnie obok siebie siedm pamiątkowych kamieni naszych siedmiu herosów. Stanowiły one fundament do Kotel - maarawi. Na nich wzniosła się ściana zachodnia Najświętszego Przybytku; obok tego muru umieszczono arkę przymierza.

Przez sześć wieków stanowił dom Boży dumę narodu. Spełniło się przeznaczenie. Nebukadnezar pokonał Żydów w orężnej walce. Spalił świątynię i wypędził cały naród z ukochanej ojczyzny. Edomici podburzali wroga, by zburzył świątynię do gruntu. „Uru uru ad hajsod ba!“ Atoli wszelkie ich usiłowania były nadaremne. Kotel maarawi pozostał nietkniętym .

Po powrocie z Babilonji, przystąpili wygnańcy bezzwłocznie do budowy drugiej świątyni. Wzniesiono ją znowu na starym fundamencie. I ten przybytek jaśniał w chwale przez sześć dalszych wieków. — — — Zerwała się jednak znowu burza. Srogi Rzym opanował Judeę. Tytus harasza spustoszył naszą ziemicę, zburzył nasz gród i z wściekłością uderzył na dom Pański, w którym wzniecił pożar. Gmach zgorzał, trzy ściany runęły i rozsypały się w gruzy, czwarta ściana, zachodnia, zachowała się nienaruszona. Stała jakby pogrążona w modlitwie, dłonie swe wzniosła ku niebu, błagając Stwórcę o zmiłowanie nad biednym narodem. Imperator wysyłał legjon za legjonem, celem doszczętnego zburzenia domu Pańskiego, lecz jakaś tajemnicza siła nie pozwalała im zbliżyć się do tego muru. Ściana ostała się i urągała wrogowi. — — —

Siedmdziesiąt lat później porwał się do walki mocarny Bar-Kochba. Chciał skruszyć kajdany srogiej niewoli. Przemoc rzymska pokonała nieustraszonego bohatera: zginął w obronie wolności narodu pod Betar. Mściwy cesarz Hadrjan wzniósł na Morji świątynię Jowisza i ażeby nie pozostała tam żadna pa-

miątka żydowska, kazał zburzyć doszczętnie Kotel maarawi. Niezliczeni robotnicy mozolili się długo nad tem, ale nadaremnie. Wtedy Hadrjan wymyślił piekielny plan: postanowił zasypać ziemią i prochem całą przestrzeń naokoło ściany i w taki sposób zetrzeć wszelki ślad dawnego przybytku Pańskiego. Wydał przeto dekret, obowiązujący każdego rzymskiego obywatela mieszkającego w Palestynie, po wsze czasy, wedle którego miano sypać wszelkie śmiecie, rumowiska i popioły na placu Morji. Mieszkańcy Aelji - Kapitoliny (tak przezwał Jerozolimę) mieli zanosić tam śmiecie codziennie, mieszkający zaś poza miastem raz na tydzień, dalsi raz na miesiąc. Edykt Hadrjana był pilnie wykonywany przez pogan. Następni cesarze rzymscy utrzymywali także ten nakaz. Przez długie wieki służyła Morja za rumowisko i z czasem znikł wszelki ślad dawnego gmachu na tem wzgórzu.

*

Erec-Izrael zmieniało często swoich zwierzchników. Rzym runął, po nim przyszli cesarze bizantyńscy, potem miejsce ich zajęli Persowie, po nich przyszli Arabowie, Mamelucy, Mongołowie, a w końcu Turcy.

I stało się, gdy sułtan Solejman Wspaniały zdobył Palestynę, że upodobał sobie odwieczny gród Dawidów na swoją stolicę. Wzniósł na Morji zamek królewski i tam przebywał najchętniej. Jerozolima zaludniła się rychło: powstały okazałe gmachy publiczne, pałace możnych i dworzan. Wyrosło jakby z pod ziemi mnóstwo ulic, bazarów i wspaniałych meczetów. Re-

zydencja mężnego kalifa zaludniła się szybko różnorakim ludem. Wśród tego zbiorowiska mieszkali tylko nieliczni Żydzi, którzy żyli w wielkim niedostatku. Pewnego razu sułtan Solejman zobaczył sporo ludzi, mężczyzn i kobiet, dźwigających wory i kosze napełnione śmieciem, które wysypali na dziedzińcu, opodal zamku królewskiego. Widząc taką zniewagę, kazał ich wszystkich uwięzić, a po kilku dniach odbył osobiście sąd nad tymi przestępcami.

„Jak śmieliście skalać moją siedzibę i w ten sposób znieważyć mój majestat?“ — zapytał ich rozgniewany mocarz. „Wspaniały kalifie“, — bronili się pokornie oskarżeni — „nie uczyniliśmy tego z rozmysłu, by urągać twemu majestatowi, lecz stało się to gwoli prastaremu prawu, które obowiązuje mieszkańców tego kraju od zamierzchłych czasów. Dawni imperatorzy rzymscy zarządzili, aby po wieczyste czasy każdy mieszkaniec wysypywał na tem miejscu śmiecie. Tak też było dotychczas: jedno pokolenie przekazywało to drugiemu. Spełniliśmy tylko, co nam nakazali nasi przodkowie.“

*

Sułtan usłyszawszy te słowa, zabronił tego odtąd pod surową karą i postanowił oczyścić Morję. Wynajął kilka tysięcy robotników i polecił im usunąć wielowiekowy nasyp ze świętego miejsca. Pośród tych robotników pracowali i Żydzi. Wszyscy robotnicy pobierali wynagrodzenie za swój trud ze skarbca monarchy. Żydzi zaś, chociaż najpilniej pracowali i byli

przeważnie biedakami, nie przyjęli żadnego wynagrodzenia za pracę. — — Długo trwała ta mozolna praca; rok minął, robotnikom opadły ręce ze znużenia: sułtan jednak nie ustawał w pracy. Zastąpił utrudzonych wojskiem, aż wreszcie powierzchnia Morji była oczyszczona i ukazał się mur: Kotel maarawi. Solejman zawezwał wtedy wszystkich Żydów swej stolicy i rzekł: „Oto, oddaję wam, co wasze. Na prastarym fundamencie waszej świątnicy wznieście sobie nowy przybytek ku chwale waszego Pana!“ Żydzi odrzekli: „Bóg ci zapłać potężny monarcho, za twą wspaniałomyślność i za ten hojny dar! Obecnie nie możemy przystąpić do odbudowy Domu Pańskiego, jesteśmy ubodzy i liczba nasza zbyt skromna.

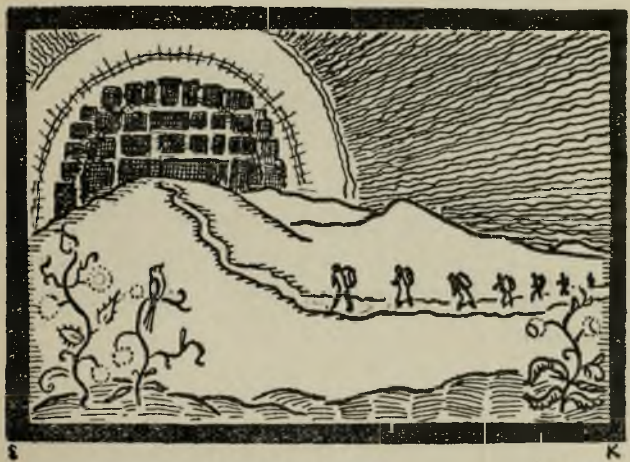
Cały nasz naród wzniesie ten gmach, skoro nadejdzie kres naszej niedoli. Usłyszą nasi bracia na rozsypce potężny głos surmy, „tekija gedola“, wzywający ich do powrotu do swej niezapomnianej ziemicy. Wtedy złączeni, jak te kamienie Jakóbowe, wskrzeszą dziedzictwo ojców. Wspólnemi siłami ugruntują wtedy na tym fundamencie nowy gmach Boży. — Tak nam przekazali nasi ojcowie.

Aż do tego wielkiego dnia zbawienia, będziemy się gromadzili do wspólnej modlitwy na tym wspaniałomyślnie zwróconym nam dziedzińcu. Na tym obszernym placu, obok starego muru, będziemy zanosili prośby do Stwórcy o szczęście dla rodu ludzkiego.“

Od tego dnia znowu Żydzi wzięli w posiadanie

spuściznę przodków. Oczy modlących się Żydów są zwrócone podczas nabożeństwa na wschód — mizrach, do miejsca, gdzie w Erec sterczy Kotel-maarawi. U stóp tej ściany płaczu korzą się nabożni z całego świata.

Kotel-maarawi to widomy znak naszej przeszłości. Zeń czerpiemy otuchę i nadzieję lepszego jutra.



MŁODOŚĆ MOJŻESZA MAJMONIDESA.

W Hiszpanji żył w XII wieku bogobojny i uczony rabi Majmon. Był wielce poważanym sędzią w Kordobie. Z żoną swą, córką rzeźnika, miał syna, któremu dał imię Mojżesz. Zaraz po urodzeniu się Mojżesza umarła młoda matka. Majmon ożenił się po raz wtóry i z tą drugą żoną miał kilkoro dzieci. Macocha nie znosiła sieroty. Swoje dzieci pielęgnowała starannie, pasierba zaś morzyła głodem, często biła go bez powodu i przezywała nieokrzesanym rzeźnikiem, bo matka jego była córką rzeźnika. Wiecznie narzekała na niego i oskarżała przed ojcem, że jest próżniakiem i darmozjadem.

Głodzony i zaniedbany sierota bowiem nie czynił postępów w nauce. Był już Bar-micwa, a umiał zaledwie czytać i do nauki Chumeszu było mu jeszcze daleko. Siedział najczęściej zadumany i nie imał się żadnej pracy. Gdy niedobra macocha ciągle skarżyła i narzekała na niego, ojciec stracił cierpliwość i rzekł do chłopca: „Twoi młodsi bracia uczą się pilnie, wyrosną na pożytecznych ludzi i będę miał z nich pociechę. Ty zaś jesteś próżniakiem i nicponiem i za-

kłócasz nam spokój domowy. Nie może tak być dalej. Idź w świat i pracuj na swe utrzymanie".

Mojżesz opuścił dom rodzicielski, w którym zniósł tyle katuszy i upokorzenia. Długi czas tułał się po świecie, nigdzie nie znajdując zajęcia, bo niczego nie umiał. Pewnego wieczora przybył do stołecznego miasta Hiszpanji, Toleda. Był zmęczony i głodny na dalekiej obczyźnie, bez znajomych i bez grosza przy duszy. Długo błąkał się po ulicach, nie mając odwagi wstąpić do jakiego domu i prosić o przytułek. Wtem zobaczył wspaniałą synagogę. Była otwarta, bo właśnie odprawiano nabożeństwo wieczorne. Wszedł, usiadł w kącie i zaczął się modlić. Wkrótce jednak zasnął ze znużenia. Nabożeństwo się skończyło, wszyscy odeszli, nikt nie zauważył chłopca i zamknięto bramę świątyni.

Około północy obudził się sierota, rozejrzał się wokoło i zobaczył ze strachem, że znajduje się w zamkniętej synagodze. Cisza grobowa i niesamowita ciemność; tylko nad ołtarzem migoce słabe światełko Ner tamid. Słyszał w dzieciństwie, że dusze zmarłych zbierają się w bożnicach o północy. Przypomniał to sobie teraz i strach go ogarnął. Zadrżał z przerażenia i głośno zapłakał. „Boże zmiłuj się nademną, biednym sierotą". Wtem zdawało mu się, że jakaś kobieta w bieli zbliża się do niego. Ujęła go za rękę i przemówiła łagodnie: „Nie bój się, moje dziecko! Ja, twoja matka, jestem przy tobie". Wzięła w objęcia, pieściła i całowała swe opuszczone dziecko.

Pierwszy raz w życiu przemówił ktoś do chłopca łagodnie i życzliwie. Pierwszy raz pieszczono go i całowano. Poskarżył się matce: „Matulu moja, jestem taki nieszczęśliwy, poniewierany i poniżony. Wygnano mnie z domu ojcowskiego. Nędzny jestem i głodny, bo nie nadaję się do żadnej pracy. Jakże żałuję, że zmarnowałem swe młode lata i nie nauczyłem się niczego. Muszę teraz żebrać po domach! Boże, daj mi inne, lepsze serce i oświeć mnie łaską Twoją“. — „Uspokój się, synu mój, nie trać nadziei. Wysłucha Pan twej prośby. Matka twoja ujmie się za tobą i będzie przez całe życie nad tobą czuwała.“ Matka usiadła przy nim, przytuliła do siebie jego zbolałą głowę, głaskała i pieściła go, aż chłopak znów usnął spokojnie.

Gdy rano otworzono synagogę i ludzie zeszli się na modlitwę poranną, zobaczyli śpiącego chłopca. Zdziwili się skąd się wziął w bożnicy. Chłopak zerwał się. Nie czuł już swego smutnego położenia. Był jakby nowonarodzony, pokrzepiony na ciele i duchu. Ciekawym opowiedział, że przybył z dalekiego kraju, że jest sierotą i chce się tutaj oddać nauce. Litościwi ludzie zaopiekowali się biednym chłopcem. Wstąpił do szkoły i gorliwie zabrał się do pracy. W krótkim czasie wykazał nadzwyczajne postępy. Przełożony gminy, bogaty i bezdzietny Żyd przyjął go do swego domu, mógł więc już w spokoju i bez trosk o chleb codzienny, oddawać się pracy naukowej. Jego nadzwyczajne zdolności, przytłumione w domu ojca wiecznem znęcaniem się, głodzeniem i biciem macochy,

teraz dopiero rozwinęły się w zadziwiający sposób. Poznał całe piśmiennictwo żydowskie: Pismo święte, Talmud i literaturę rabiniczną. Studjował również w akademjach arabskich i został mistrzem siedmiu wyzwolonych nauk. Odznaczył się szczególnie w filozofji, matematyce, naukach przyrodniczych i medycynie. Po kilku latach nauki na wyższych uczelniach żydowskich i arabskich, Mojżesz syn Majmona zasłynął jako uczony rabin i jako najwybitniejszy lekarz. Sam kalif zamianował go swoim nadwornym doktorem. Wtedy Mojżesz postanowił odwiedzić swego starego ojca i swoje miasto rodzinne.

*

Miasto Kordoba przygotowało wspaniałe przyjęcie sławnemu uczonemu i wysokiemu dygnitarzowi kalifa. Starszyzna gminy żydowskiej w Kordobie zaprosiła go na wykład naukowy do synagogi. Zebrała się cała gmina żydowska, wszyscy rabini i uczeni, a pośród nich stary sędzia Majmon. Nikt się nie domyślił, że ten sławny uczony jest nieudanym synem Majmona.

Mojżesz przemówił z ambony. Zdawało się, iż znowu z Chorebu rozlega się głos boży. Słowa Tory jaśniały nowym blaskiem i kwitły życiem. Od Mojżesza rabejnu nikt tak nie objaśniał nauki bożej, nikt tak nie wniknął w tajniki Zakonu. Stary Majmon przez cały czas wykładu nie spuścił oka z młodego rabina; zdawało mu się, że kiedyś słyszał ten głos, widział tę

twarz. Żal mu ścisnął serce, pomyślał, że żaden z jego synów nie udał mu się, żaden nie chciał się uczyć. — A jego pierworodny, jego Mojżesz, jeśli jeszcze żyje, jest teraz w tym wieku, co ten młody mistrz. Pewnie zmarnował się nicpoń, przepadł gdzieś, albo jest ostatnim nędzarzem i wyrzutkiem społeczeństwa. — I łzy gorzkiego zawodu zaczęły się toczyć po jego długiej siwej brodzie.

Zauważył to mistrz, zeszedł z kazalnicy, przybiegł do ojca, objął go i uścisnął i dał mu się poznać: „Jam twój marnotrawny syn Mojżesz. Z łaski bożej, pod opieką mojej świetlanej matuli i wielkodusznego dobrodzieja dopiąłem celu".

*

Wielkie było zdumienie całej gminy. Zaledwie można było pojąć, że ten sam Mojżesz, wnuk rzeźnika, stał się obecnie sławą światową. Trudno opisać szczęście ojca. Do końca życia nie rozłączył się więcej z wielkim i chlubnym swym synem. Sława Mojżesza Majmonidesa rosła z każdym rokiem. Po naszym wielkim mistrzu Mosze rabejnu, jest Mojżesz syn Majmona największym mężem, jakiego wydało plemię judzkie. Pierwszy Mojżesz wyzwolił swój naród z niewoli egipskiej i nadał mu boską Torę. Drugi zaś Mojżesz wyzwolił żydów z pęt ciemnoty i przesądów i oświecił ich nauką jasną i rozumną.

Majmonides przeniósł się później do Kairo, stołecznego miasta Egiptu, gdzie został nadwornym le-

karzem sułtana Saladyna. Piastował również urząd naczelnika wszystkich Żydów kalifatu, był Nagidem. Napisał bardzo dużo cennych dzieł. Najważniejsze są: Miszna Tora: dzieło to zawiera zwięzłe i jasne zestawienie całego prawa żydowskiego. More-Nebuchim t. j. Przewodnik błądzących, wielkie dzieło filozoficzne. Do dnia dzisiejszego mówią Żydzi: Od Mojżesza (rabejnu) do Mojżesza (Majmonidesa) nie było podobnego Mojżesza.



RABI AMNON.

Dawno już temu, bo jeszcze za czasów średniowiecza żył w Moguncji sławny ze swej głębokiej wiedzy i bystrego umysłu r. Amnon. Odznaczał się okazałą postacią i szlachetnością charakteru. Bóg obdarzył go również bezmiernem bogactwem, którego jednak przeważnie używał na ulżenie niedoli bliźnich. Jakkolwiek pochodził ze znakomitej rodziny, był skromnym i przystępnym dla każdego człowieka. Z powodu tych cnót stał na czele żydów germańskich, był zawsze ich opiekunem i obrońcą. Książę-elektor również otaczał go swą łaską, powołał na swój dwór i uczynił go swym przyjacielem i doradcą. Dworzanie i dygnitarze patrzyli zazdrosnem okiem na r. Amnona; gniewało ich, że żyd jest powiernikiem księcia, który wyżej jego ceni, aniżeli ich wszystkich. Zbliżyli się więc do niego, udawali najlepszych przyjaciół i zaczęli go namawiać, by wyrzekł się wiary ojców. — R. Amnon atoli nie zważał na ich słowa.

Wtedy zwrócili się do księcia i przedstawili mu, że nie wypada obdarzać żyda zaufaniem; żyd nie powinien zajmować stanowiska doradcy korony. Elek-

tor sam zaczął go kusić do odstępstwa. „Uczynię cię swoim kanclerzem i staniesz się możnym panem, pierwszym dygnitarzem w mojem państwie.“ R. Amnon z powagą na to odpowiadał: „Sprzeniewierzywszy się Bogu swemu, sprzeniewierzę się potem i władcy swemu; zdradziwszy swą wiarę, zdradzę i swoje państwo. Tylko obłudnik i kłamca jest zdolny do wiarołomstwa.“ — Książę jednak stawał się z każdym dniem uporczywszym. Wkońcu zażądał stanowczo, by usłuchał jego rozkazu, nie chciał go wypuścić z pałacu, aż usłyszy jego decyzję. R. Amnon stracił wtedy równowagę i rozdrażniony odrzekł: „Możny Panie! Daruj mi trzy dni zwłoki do namysłu. Za trzy dni oznajmię ci o mojem postanowieniu.“

Uradowany książę chętnie zgodził się na to.

R. Amnon spiesznie wrócił do domu. Na drodze, gdy umysł jego się uspokoił i rozjaśnił, poznał, że popełnił grzech śmiertelny. Jakże mogły wyjść z jego ust takie bluźnierstwa, przez które zdradził, że nie jest dość pewnym siebie. Czy Żyd w takim wypadku ma się wahać z decyzją, prosić o czas do namysłu, stając się już przez to samo nikczemnikiem i odszczepieńcem? Tym brakiem stanowczości zaparł się już Boga izraelskiego. Wszak Żyd bez namysłu, niewzruszony jak opoka ma wytrwać przy wierze ojców do ostatniego tchnienia. „Wielkie jest moje przewinienie“ — biadał — „muszę zmazać grzech pokutą i swojem życiem uświęcić Imię Jedynego“.

W domu zamknął się w swoim pokoju, usiadł na

ziemi, obsypał swe oblicze popiołem. Nie zasiadł więcej do stołu z ukochaną rodziną, nie przyjął ni jadła, ni napoju i pogrążył się w smutku i żałobie. Zatrwożona żona pytała go, co mu się stało, czy nie chory? Amnon wzdychając odrzekł: „ Nie moje ciało, lecz ma dusza zaniemogła srodze“.

Żona dalej: „Może spotkała cię jaka przykrość u elektora, wszak wracasz od niego; może straciłeś jego łaskę?“ — „Nie dbam o łaskę księcia, co mi tam względy człowieka z krwi i kości! Ale straciłem zaiste przez swą nierozwagę łaskę Przedwiecznego.“ Żona wybuchła płaczem, lecz r. Amnon dodał jej otuchy i prosił, by przyjęła wyrok Boży bez szemrania.

*

Przez trzy dni r. Amnon trwał w poście i skrusze. Gdy nastał umówiony dzień, elektor — będąc pewny uległej odpowiedzi — zebrał swych możnych i dworzan, by byli świadkami jego zwycięstwa i w swej sali tronowej czekał przybycia ulubionego Żyda. Lecz daremnie czekali, upływała godzina za godziną, r. Amnon nie zjawiał się. Wysłano więc doń kilku dostojników z prośbą, by bezzwłocznie stawił się u księcia, który w ważnej sprawie oczekuje go z niecierpliwością. Rabi odprawił posłów z niczem.

Wtedy książę wysłał do niego po raz wtóry jeszcze dostojniejszych panów z poleceniem, aby r. Amnon dał mu odpowiedź wedle umowy. R. Amnon kazał im

donieść księciu, że nie ma wcale zamiaru pójść do niego i że nie ma księciu nic do powiedzenia. Księciu zależało bardzo na swym doświadczonym i wiernym doradcy, nie dał się zrazić odmową i wyprawił do niego po raz trzeci posłów. R. Amnon nie wpuścił wcale wysłanników książęcych do swego domu.

*

Elektor zapłonął gniewem, że krnąbrny Żyd, tak ośmiela się go lekceważyć i kazał sprowadzić go gwałtem. Gdy oddział zbrojnych żołnierzy przyprowadził Amnona okutego w kajdany, książę zawołał: „Jak śmiesz nie słuchać mego rozkazu? trzykrotnie posyłałem po ciebie, a ty nie raczyłeś zważać na moje słowa. Przyrzekłeś po trzech dniach dać mi odpowiedź. Termin minął, żądam wyjaśnienia“. — Na to r. Amnon: „Mości Panie! Nie mam żadnej odpowiedzi. W swej nierozwadze prosiłem o trzydniową zwłokę, przeto ciężko zawiniłem, bo mógłby ktoś pomyśleć, że waham się i że nie jestem na życie i śmierć związany nierozerwalnym węzłem ze swym narodem i swym Bogiem. Ta moja chwiejność musi być odkupioną. Pozwól, bym sam wydał wyrok na siebie: „Mój język, który bluźnił, niech będzie wycięty.“

Książę i dostojnicy próbowali go jeszcze dobrocią nakłonić do odszczepieństwa. — Przyrzekli mu bogactwa i zaszczyty, lecz wszystkie ich usiłowania spełzły na niczem. Wkońcu rozgniewany książę przywołał kata i oprawców i zagroził okrutnymi torturami. Lecz

podobnie, jak nie skusiły rabi Amnona godności i zaszczyty, tak też nie ugiął się przed złowrogim ostrzem topora. Wtedy rozwścieczony elektor rzucił się na niego, obsypał razami, a potem wykrzyknął: „Twój wyrok własny, niewierny Żydzie, jest za łagodny. Język twój nic nie zawinił, owszem mowa jego mi się podobała. Atoli ponieważ trzykrotnie wezwałem ciebie, a nogi twoje nie przyszły, a ręce twoje trzymały te żydowskie przeklęte księgi, zato kat pozbawi cię rąk i nóg."

Srogi wyrok zapadł i kat wykonał go bezzwłocznie. Podczas tej krwawej egzekucji, książę ciągle go pytał, czy chce się nawrócić, ale r. Amnon, znosząc piekielne katusze, wzniósł wzrok ku niebu i szeptał: „Oby moje cierpienie było odkupieniem dla całego narodu izraelskiego!" — Okaleczonego kazał książę włożyć do czarnej trumny wraz z odciętymi członkami i pomocnicy kata zanieśli go do jego domu w dzielnicy żydowskiej.

*

Trudno wyrazić słowami rozpacz biednej żony i nieszczęśliwych dzieci, gdy zobaczyli najukochańszego ojca. Męczennik, ledwie żyjąc, prosił ich, aby poddali się świętej woli Pańskiej. — — — Działo się to właśnie w przededniu „Rosz-haszana". Na Nowy Rok zebrała się cała gmina żydowska w synagodze na nabożeństwo. R. Amnon żył jeszcze, rodzina i starszyzna gminy czuwała przy nim całą noc. Rano uczuł męczennik, że opuszczają go siły, że życie ucieka. Ostatniem

jego życzeniem było, by go w trumnie zaniesiono do bożnicy. Stało się wedle jego woli. Zaniesiono go do modlących się w bożnicy i postawiono trumnę obok arki świętej. Pobożni wznieśli lament i ukorzyli się w prochu przed Panem. Otworzyli Arkę świętą, a rodały Tory patrzały z uwielbieniem na konającego, od którego biła jasność niebiańska. Kantor właśnie odprawiał modlitwę Musaf i przystąpił do Keduszy, gdy rabi Amnon poprosił, by kantor przerwał na chwilę modlitwę i ażeby zebrani pozwolili mu wielbić Imię Pańskie. Zebrał ostatek sił i natchniony duchem bożym zaintonował doniosłym głosem hymn Unsane-Tokef. Słowa jego brzmiały jak pieśń bohaterska, jak pean zwycięstwa. Zdawało się, że sami cherubini wtórują mu na lutniach. Jakąś harmonją poważną i wzniosłą dźwięczała nuta słodka zarazem i potężna. Rozbrzmiewała pieśń, która goi rany, napełnia otuchą i wiarą, pieści i całuje, jak matka dzieci swoje. Hymn, który nuci o świętości dnia Nowego Roku, o wszechmocy Najsprawiedliwszego, o znikomości ludzkiej i o zbawiennej potędze: modlitwy, pokuty i dobrych uczynków. „Teszuba, tefila, cedaka."

Gdy skończył wspaniały hymn, cała gmina głosiła: kadosz, kadosz, kadosz... Święty, święty, święty Pan zastępów!...

A gdy rozbrzmiało ostatnie słowo — wyzionął r. Amnon duszę. Aniołowie Pańscy zstąpili z wyżyn i zanieśli ją przed tron Najmiłosierniejszego Ojca w niebiesiech...

Hymn Unsane-Tokef pozostał wyryty w pamięci wszystkich pobożnych w synagodze. Po Rosz-haszana spisano go starannie. Trzy dni po śmierci męczennika ukazał się we śnie swemu towarzyszowi, zacnemu r. Klonimosowi b. Meszulam, przypomniał mu dokładnie słowa Unsane-Tokef, kazał rozesłać je po wszystkich gminach żydowskich i polecić, aby głosić i śpiewać ten hymn przed Kedusza w Rosz-haszana i Jom Kipur. Stosownie do jego woli całe żydostwo przyjęło hymn Unsane- Tokef.

Do dnia dzisiejszego odśpiewują go uroczyście we wszystkich świątyniach żydowskich na „Jamim Noraim“, t. j. na Nowy Rok i na Dzień Pojednania.



ABRAHAM PROCHOWNIK.

Już w najdawniejszych czasach, gdy Polska była jeszcze pogańską, mieszkali Żydzi na tej ziemi. Przybyli tu ze stepów czarnomorskich, z Krymu, z Rusi i z kraju Chazarów.

Państwo Chazarów sięgało od Morza Czarnego do Karpat, a stolica tego państwa Itil leżała nad Wołgą. Król Chazarów, Bułan, przyjął wiarę żydowską w wieku VII i rozkrzewił ją w całem swem państwie. Zarówno Żydzi, jak i Chazarowie, którzy byli wyznawcami Zakonu mojżeszowego, przenieśli się potem z równiny Sarmackiej i osiedlili się na ziemi lechickiej.

Nęciła ich bowiem urodzajna gleba, bujne łąki, rybne jeziora i dziewicze lasy. Przybyli tutaj z rodzinami, przywieźli cały swój dobytek na wielkich wozach, przygnali liczne swoje stada krów, wołów, koni i owiec. Nowi przybysze karczowali odwieczne lasy, wznieśli obszerne drewniane chaty i zabrali się skrzętnie do pracy na roli. Niebawem powstały na wszystkich ziemiach lechickich liczne kwitnące osady, zamieszkane przez Żydów i Chazarów wyznania żydowskiego.

Książęta polscy sprzyjali tym nowym osadnikom, bo byli spokojni i pracowici. Powszechnie znane były te sioła żydowskie i służyły innym za wzór, bo tam kmieć pracował wytrwale przez sześć dni, a siódmego dnia każdego tygodnia odpoczywał. W tym to dniu modlił się i śpiewał nabożne pieśni. Także jego czeladź odpoczywała, nawet jego konie i jego woły świątkowały w sobotę. Wielką ich zaletą była trzeźwość, nikt nie widział nigdy pijanego chłopa żydowskiego. Żyli także w zgodzie między sobą i z sąsiadami.

Osady te nazywano: Żydów, Żydowo, Sidowo, Żydowska Wolya, Židów wiła, Żydaczów, Żydatycze, Kozara, Kozari, Kozarów. Sioła takie były we wszystkich dzielnicach ziemi lechickiej i utrzymały się przez długie wieki. I tak były osady: Żydowo i Żydowska Wolya koło Gniezna, Żydowo koło Kałusza w ziemi krakowskiej, sandomierskiej, brzeskiej i w ziemi lwowskiej. Kozari i Chazarz w ziemi halickiej, Żydowska Wolya w ziemi przemyskiej i w. i.

Osadnicy ci już przedtem w krajach nad Wołgą, na stepach czarnomorskich, mówili językiem słowiańskim, podobnym do języka polskiego, a teraz w nowej swej ojczyźnie przyjęli zwyczaje i mowę lechicką. W tym języku wykładali i objaśniali im nauczyciele i chaganowie ich święte księgi Zakonu mojżeszowego. Imiona mężczyzn były biblijne, ale nosili również często imiona słowiańskie, imiona kobiet były przeważnie lechickie. Słyszymy więc takie imiona: Lelko, Detko, Drobny, Mały, Wileczko, Chłopko, — Jagnia,

Rybka, Pszczółka, Muszko; Swenko, Róża, Czarna, Biała, Złota, Ruda, Mila, Dobrysz, Kaszycza i w. i.

Wieki przeszły im w spokoju i dobrobycie, bo ziemia lechicka, odpłaciła im znojny trud stokrotnym plonem. Dzieci się rozmnożyły i chowały. Z sąsiadami, choć byli to poganie i modlili się do bożków, żyli w zgodzie i dobrze im było z nimi. Wprawdzie za panowania okrutnego Popiela wszystkim było ciężko, lecz na szczęście niedługo uciemiężał swój naród, bo ukarał go Bóg i zagryzły go myszy.

*

Nastało bezkrólewie w Polsce. Starszyzna narodu zebrała się na wiec w Kruszwicy nad jeziorem Gopłem, aby wybrać nowego księcia. Długo obradowano, powstawały spory i kłótnie i zdawało się, że przyjdzie do bratobójczych walk. Wtedy to, chcąc uniknąć waśni, najpoważniejszy ze starszyzny tak rzekł: „Bracia! nie gubmy naszej ukochanej ojczyzny kłótniami i nie przelewajmy krwi bratniej. Wybór nowego króla pozostawmy woli Bogów. Otóż uczynimy tak: kto jutro z brzaskiem dnia pierwszy przyjdzie do ogrodu, ten obwołany będzie królem Lechitów.“

Rada ta podobała się całemu ludowi i natychmiast przystąpili do dzieła. Cztery straże rozstawiono dokoła mostu prowadzącego do grodu. Miały one rozkaz zatrzymać pierwszego, który przybędzie rano z brzaskiem dnia do miasta i przyprowadzić go zaraz do starszyzny zgromadzonej przed zamkiem.

*

Pierzchła ciemna noc, świeży jasny dzień wiosenny zajaśniał na nieboskłonie, rosą osrebrzane kwiatki wydawały rajską woń i rozbudzone ptaszęta nuciły hymn pochwalny Stwórcy. Daleko na gościńcu prowadzącym do grodu od strony jeziora, ukazał się raniutko wóz zaprzągnięty trójką koni, a kierowany przez kmiecia. Straż prędko ustawiła się w pogotowiu bojowem. Wóz szybko zbliżył się do grodu. Warta wypadła i zatrzymała koło mostu nad jeziorem Gopłem wjeżdżającego wieśniaka. Był to znany w całej okolicy kmieć, Abraham Prochownik z pobliskiego sioła „Żydowska Wolya“. Usłyszawszy, że starszyzna zebrała się na wiec i że niema wśród nich zgody, śpieszył do miasta, aby wiecować razem z ziomkami. Abraham Prochownik był zamożnym gospodarzem znanym ze swej mądrości i pobożności i wszyscy radzi słuchali jego słów. Dla starszyzny wiózł dużo plastrów miodu ze swojej pasieki i wiele smacznych chlebów z własnej urodzajnej roli.

Straż wedle rozkazu zaprowadziła Abrahama do grodu przed zamkiem. Tu już czekała go starszyzna i lud, wszyscy witali go z radością jako swego nowego pana i obwołali Abrahama królem. Abraham, jednak stanowczo odmówił przyjęcia ofiarowanej mu korony. Atoli starszyzna i lud nie chcieli ustąpić i trwali w swojem postanowieniu. Wtedy uprosił sobie Abraham dzień czasu do namysłu, by w modlitwie i poście znaleźć u Boga poradę, co czynić wypada dla dobra ojczyzny i dla szczęścia swoich ziomków. Zamknął się

w wielkiej komnacie zamkowej i błagał Boga ojców o pomoc i radę. Dwa dni i dwie noce upłynęły, a Abraham ciągle pozostawał w zamkniętej komnacie i nie ukazywał się czekającemu niecierpliwie ludowi.

*

Trzeciego dnia lud zaczął szemrać i narzekać. Wtedy wystąpił jeden ze starszyzny i zawołał: „Bracia, tak dalej być nie może, lud jest osierocony bez księcia, a Ojczyzna bez naczelnika rozpadnie się. Ponieważ nasz Abraham się zamknął i nie wychodził z izby przez dwie doby, ja go przyprowadzę tutaj przemocą, niech powie co się stać ma z naszą Ojczyzną.“ To mówiąc porwał za topór i wywalił drzwi komnaty, w której modlił się Abraham. Wtedy wyszedł stamtąd Żyd, blady, wzruszony, stanął przed starszyzną i ludem, położył dłonie na głowę odważnego kmiecia i z powagą rzekł: „Otóż ten kmieć, nasz ziomek Piast będzie naszym królem. Na niego czekałem dotychczas. Tak chce Bóg i tego żąda szczęście naszej ukochanej Ojczyzny. On kocha ziemię naszą, bo uprawia jak my wszyscy rolę, przy tem jest rozsądny i dzielny — będzie przeto mądrze rządził i odważnie nas obroni od wrogów. Jemu więc ofiarujmy koronę lechicką. Taką jest wola Boża objawiona mi podczas modlitwy.“ Przemowę swoją zakończył Żyd błogosławieństwem: „Oby cię pobłogosławił Pan i strzegł, abyś się stał ojcem sławnego rodu, aby potomkowie twoi panowali szczęśliwie i sprawiedliwie przez długie wieki nad narodem lechickim. Amen.“

Natchnione słowa Żyda Abrahama, znalazły posłuch u zgromadzonego ludu i starszyzny. Piasta obwołali wszyscy królem Lechitów.

*

Szczęśliwe były rządy Piasta, cały naród żył spokojnie i w zgodzie na ziemi ojczystej przez długie lata. Po nim rządzili jego potomkowie, sławny ród Piastów, a za ich panowania Polska stała się potężnem i wielkiem państwem. Wieki minęły, w Polsce ciągle panował ród Piastów. Nastały inne czasy i inne prawa — pamiętali jednak potomkowie Piasta Żydom błogosławieństwo Abrahama Prochownika, otaczali ich zawsze swoją opieką i obdarzali ich swoją łaską. Ostatni zaś z tego rodu, król chłopków, Kazimierz Wielki, zaskarbił sobie ich serca, wydając sławny przywilej zabezpieczający Żydom prawo i sprawiedliwość.



PO-LON-JA.

Od niepamiętnych czasów przebywali Żydzi w krajach Europy zachodniej pośród Teutonów, Celtów, Gotów i wielu innych ludów, zamieszkujących rozległe obszary od Atlantyku do Alp i Karpat. Przybyli oni tutaj jeszcze za Salomona wraz z Fenicjanami i założyli szereg kolonij. — Wszędzie zajmowali się rolnictwem i chowem bydła; współdziałali w zakładaniu miast. Prowadzili również ożywiony handel i trudnili się pożytecznem rękodziełem.

Minęły długie wieki. Żydzi dzielili losy swoich współobywateli w doli i niedoli. Około IX wieku po Chr. nawracają się owe ludy pogańskie na wiarę chrześcijańską. Kapłani pogańscy, zagrożeni w swoim bycie, podjudzali ciemne tłumy przeciw chrześcijanom. Żydzi znaleźli się wtedy pośrodku między walczącymi na śmierć i życie dwoma światami. Poganie podejrzywając ich, że sprzyjają chrześcijanom, obwiniali ich o zdradę i mścili się srogo. Lecz i nowonawróceni chrześcijanie uważali ich również za swoich przeciwników. Zagrożeni więc ze wszystkich stron, Żydzi zaczęli szukać bezpiecznego miejsca pobytu.

Wzrok swój skierowali na wschód, gdzie rozciągała się ziemia Lechitów i Polan. Mieszkańcy tej ziemi byli jeszcze poganami, czcili Światowida, Perkuna i Marzannę. Znani byli ze swojej dobroduszności i gościnności. Sławne było imię Leszka, chrobrego księcia Lechitów, który był postrachem wrogów i opiekunem uciśnionych.

*

Żydzi wysłali więc poselstwo do Leszka z prośbą, aby im pozwolił osiedlić się w jego państwie. Starszyzna żydowska udała się do Gniezna, stolicy Lechitów. Książę przyjął poselstwo na zamku, siedząc na wspaniałym tronie, otoczony dworzanami i możnymi państwa. Starszyzna żydowska przedstawiła monarsze smutne położenie ludu izraelskiego i prosiła o przytułek i schronienie. Książę wzruszony niedolą prześladowanego narodu i chcąc poznać zasady jego wiary, zadał im następujące pytania:

1. Dlaczego krzywdzą was wasi ziomkowie?

Odpowiedź: Za naszą świętą wiarę nienawidzą nas; nic pozatem zarzucić nam nie można.

2. Jaką wyznajecie wiarę?

Odpowiedź: Wierzymy w jedynego Boga,Stwórcę wszystkiego.

3. Co myślicie o duszy ludzkiej?

Odpowiedź: Każdy człowiek ma nieśmiertelną duszę, którą go obdarzył Wiekuisty Pan.

4. A jeśli kto inaczej wierzy, niźli wy, czy po-

mimo to jest waszym bliźnim, czy uważacie go za równego sobie?

Odpowiedź: Tora (Zakon) nasza nakazuje nam: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego (III. Ks. M. 19). Każdy człowiek jest naszym bliźnim. Wszyscy bowiem pochodzimy od jednego ojca i od tej samej matki, jesteśmy przeto braćmi".

5. A gdy ów człowiek nie uznaje waszych przepisów i obyczajów?

Odpowiedź: Tylko sprawy ludzkie należą do człowieka, reszta jest pozostawiona najmiłościwszemu Panu w niebiesiech.

6. Jak obchodziliście się w waszej ojczyźnie z obcymi i innowiercami?

Odpowiedź: Tak, jak nakazuje ludzkość i Zakon Boży.

7. Ciekawy jestem wiedzieć, co wam nakazuje wasz Zakon?

Posłuchaj miłościwy Panie, co napisane jest w naszem Piśmie:

„Obcego i cudzoziemca nie będziesz krzywdził, bo cudzoziemcami byliście w Egipcie. (II. Ks. M. 22). Gdy zobaczysz wroga swego w potrzebie, pośpiesz mu z pomocą (II. Ks. M. w 4 i 5). Gdy zamieszka obcy, innowierca w waszym kraju, nie uciskajcie go. Równy wam ma być każdy cudzoziemiec. Kochaj obcego jak siebie samego, bo sami byliście przychodniami w Egipcie (II. Ks. M. 19). Pan Bóg jest wielki, potężny i możny, nie zważa na dostojeństwo człowieka, nie przyjmuje

przekupstwa. Opiekuje się sierotami i wdowami, miłuje obcego i przychodnia, obdarzając go chlebem i odzieniem (V. Ks. M. 10). Jedna ustawa i równe prawa dla wszystkich, dla obywateli i dla obcych, mieszkających na waszej ziemi (V. Ks. M. 16).“

Słowa te przyjął książę Leszek z najwyższem zadowoleniem i oświadczył poselstwu, że chce sprawę tę przedstawić swoim arcykapłanom i starostom. Kazał zgłosić się poselstwu za trzy dni po odpowiedź. Książę zaraz zwołał Wielką Radę do bożnicy (tak zwano świątynię u pogan) i przedstawił prośbę Żydów.

I sprawił Pan, iż znaleźli łaskę w oczach księcia i jego możnych. Po długiej i poważnej naradzie, postanowili udzielić uciśnionym przytułku na ziemi lechickiej. Następnie przyjął książę miłościwie poselstwo żydowskie i upewnił je, że rad widzieć będzie plemię izraelskie w swojem państwie.

Wrota kraju stoją dla niego otworem i Żydzi mogą się osiedlać po całej jego ziemi, przebywać ją wzdłuż i wszerz, służąc Bogu, wedle nakazów ich Zakonu. Pozwala im uprawiać rolę, jak to dotychczas było ich zajęciem głównem i również rękodzielnem zajmować się zatrudnieniem. Starszyzna żydowska rzuciła się do nóg szlachetnego władcy i ze łzami w oczach dziękowała mu za udzieloną im gościnność.

Pośpieszyła potem do swoich współwyznawców i przyniosła im wieść radosną, o szczęśliwym wyniku poselstwa.

*

Niebawem przeniosło się mnóstwo rodzin żydowskich wraz ze swym dobytkiem z krajów zachodnich do ziemi lechickiej. Tutaj patrzono na nich z początku ze zdziwieniem, jak na przybyszów z dalekich stron, różniących się obyczajami, mową i wiarą od tubylców. Jednak pożyteczna praca, uprzejme postępowanie i uczciwe współżycie Żydów, podobało się wszystkim i zjednało im serdeczną gościnę.

W nowej ojczyźnie zabrali się Żydzi do pracy na roli i tworzyli liczne osady żydowskich kmieci. Zamieszkali również w miastach i trudnili się wszelakiem rzemiosłem i handlem. I Pan zesłał im swoje błogosławieństwo i gleba lechicka, którą w znoju uprawiali wydała plon stokrotny. Nowi przybysze rozpościerali się coraz dalej w głąb kraju. I stało się, że gdy przybyli do ziemi na wschód słońca, natrafili na prastary las. Rosły tam wiekowe dęby, które koronami sięgały ku niebu. Na tych olbrzymich drzewach były wyryte słowa Talmudu. Na każdym dębie jeden rozdział prawa żydowskiego: Miszna i Gemara. (Opowiadają, że ten las istnieje do dnia dzisiejszego koło Lublina).

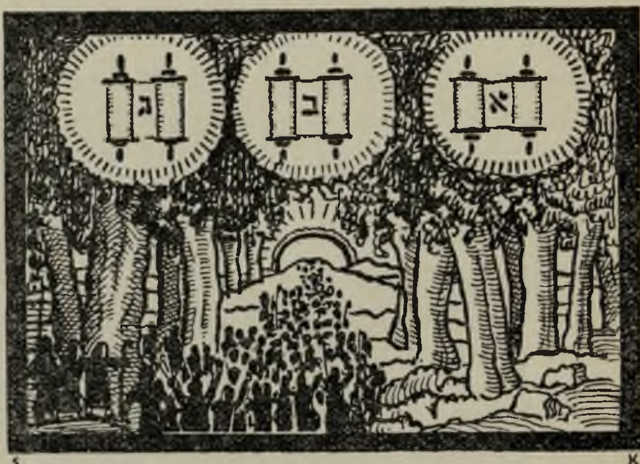
Poznali tedy nowi przychodnie, że zaszli do dawnych siedzib swoich współwyznawców. Znaleźli już bowiem tam braci, którzy przedtem przybyli z Chazarji, gdzie może mieszkali i potomkowie 10 zaginionych pokoleń izraelskich i od dawna pielęgnowali nauki Boże, studjowali Torę i Talmud. Żydzi nazywali przeto ten kraj „Polonja“ (Po-lon-jah), to znaczy, tutaj przebywa Bóg, tutaj zajmują się nauką bożą. Tu-

taj czuwa Przedwieczny i roztacza swoją opiekę nad mieszkańcami tej ziemi.

Stąd — według podania — nazywa się ta ziemia dotychczas Polonją — Polską, a jej mieszkańcy Polakami. I długo sprzyjało szczęście Żydom w Polsce; pędzili tu żywot spokojny, uprawiając glebę urodzajną i trudniąc się pracą pożyteczną.

— — — — — — — — — — — —

Taką opowieść przekazali nam nasi przodkowie i tak jest napisane w starych księgach żydowskich.



CÓRKA SZACHA.

Szach, o którym tutaj będzie mowa, nie był królem królów, panującym najmiłościwiej w Persji i Medji, lecz sławnym uczonym żydowskim. Właściwe jego imię było r. Sabataj Kohen.

W 24 roku życia napisał słynne dzieło p. t. Sifsej-Chohen. Od początkowych liter tej księgi Sz i ch nazywają go Szach. Żył w Polsce w siedemnastym wieku. Studjował w wyższych uczelniach żydowskich, jeszubot w Lublinie i Krakowie, stając się stopniowo jednym z najgłośniejszych uczonych w Polsce. W tym okresie żył spokojnie i szczęśliwie w gronie niezmiernie licznych uczniów ze wszystkich stron świata. Bogobojna żona i miłe dzieci osładzały mu życie.

Nastały jednak ciężkie czasy. Wiek 17. należy do najnieszczęśliwszych w dziejach polskich Żydów. Rzeczpospolita stała w płomieniach. Wybuchł bunt Chmielnickiego. Kozacy tępili bez miłosierdzia ogniem i mieczem biedny naród. Spalili doszczętnie wiele osad żydowskich. Z najpiękniejszych synagog zostały gruzy i zgliszcza. Setki tysięcy Żydów, starcy,

kobiety i dzieci ginęli w okropnych męczarniach z rąk rozbestwionych zbirów. Kto mógł się ratować ucieczką, zostawiał cały swój dobytek i unosił samo tylko życie; a znikąd nie było pomocy ni ratunku.

Pewnego razu, gdy Szach siedział ze swoimi uczniami w jeszubie, napadli wrogowie na miasto. Podpalili żydowską dzielnicę ze wszystkich czterech stron i zaczęli mordować i grabić. Szach pobiegł do domu, ale zbóje zdołali już tymczasem zagarnąć domostwo. Dom stał w płomieniach. Rabin wbiegł do wnętrza, w nadziei, że uratuje rodzinę, ale żona jego leżała u progu z roztrzaskaną głową, a obok niej dwoje zabitych dzieci. Zaczął szukać trzeciego dziecka, swej dziesięcioletniej córeczki Zuzanny. Na szczęście znalazł ją w bibljotece, gdzie się ukryła. Ojciec chwycił dziecko, wyniósł je z płomieni i uciekłszy chyłkiem z miasta, schronił się do pobliskiego lasu. W gęstwinie kryli się przez cały tydzień, żywiąc się jagodami i korzeniami.

Po upływie tygodnia, sądząc, że mordercy opuścili już okolicę, wyszedł z dzieckiem na kraj lasu i postanowił udać się sam do pobliskiej wsi, aby dowiedzieć się, co się dzieje i zaopatrzyć się w żywność. Zuzannie kazał tymczasem skryć się pod rozłożystem drzewem u skraju lasu i czekać cierpliwie na swój powrót.

I stało się, gdy Szach był we wsi, że właśnie przejeżdżał pod lasem możny magnat, na czele oddziału zbrojnych rycerzy. Zobaczywszy pod drzewem prze-

śliczną dziewczynkę, porwał ją, nie zważając na jej płacz i błaganie i zawiózł na swój zamek. Dziecko było tak piękne, że budziło u wszystkich zachwyt. Magnat i jego żona postanowili ją wychować razem ze swemi dziećmi. Z początku płakała i próbowała uciec, ale z czasem przyzwyczaiła się do swego otoczenia. I byłaby zapewne zapomniała o swem pochodzeniu, gdyby nie to, że zawsze ukazywała się rankiem matka męczennica i odmawiała z nią błogosławieństwo poranne „Mode ani Szma Israel...“ Wpajała jej przytem to zdanie: „Szimi biti musar abich, w al titosz torat imejch...“ (Słuchaj ma córko, nauki swego ojca i nie zapieraj się nigdy wiary swej matki).

Tak płynęły dnie córce Szacha, która na zamku książęcym otrzymała staranne, wielkopańskie wychowanie i wyrosła na hożą dziewicę.

*

Trudno opisać rozpacz nieszczęśliwego ojca, gdy po powrocie ze wsi nie zastał córeczki. Szukał jej wszędzie po lesie, przetrząsnął wszystkie gęstwiny, przebiegł wszystkie ścieżki, wołając głośno dziewczynkę, ale wszystko nadaremnie. Przepadła jak kamień w głębinach morza, wszelki ślad po niej zaginął.

Strapiony ojciec postanowił po całym świecie szukać swego dziecka: „Pójdę z lasu do lasu, z miejsca na miejsce, z kraju do kraju, aż na koniec świata, przez wszystkie moje dni, nie użyczę odpoczynku swoim strudzonym nogom, dopóki jej nie zobaczę!“ Od

tego dnia zaczął Szach tułać się po świecie. Bez wytchnienia szukał dziecka, pytał o nie drzew w lesie, zwierzyny w polu, rybek w rzece, ludzi po wsiach i miastach. Włos jego pobielał, lica wychudły, szaty podarły się, plecy się zgarbiły, nogi nabrzmiały z długiej włóczęgi po świecie, oczy przygasły z tęsknoty. — Nigdzie śladu, znikąd promyka nadziei...

*

Zuzanna skończyła 17 rok życia i odznaczała się nadzwyczajną urodą. Podobała się młodemu rycerzowi, bratankowi księcia pana, który prosił jej przybranego ojca, aby mu ją oddał za żonę. Ale ponieważ Zuzanna była Żydówką, postanowiono, że przedtem zmieni wiarę. Dzień jej chrztu miał być uczczony uroczystym obchodem, na który zaproszono sporo dostojnych gości.

Zuzanna wstała rano wcześnie i włożyła kosztowne szaty. Jak zwykle ukazała się jej matka, odmówiła z nią „Mode ani", a potem wzięła ją za rękę i rzekła: „Chodź ze mną". — Zuzanna posłuszna, bez wahania wybiegła z pałacu. Wydało się jej, że leci w powietrzu. Widziała pod stopami łąki, lasy, rzeki, wsie i miasta. Nagle zatrzymały się w środku jakiegoś miasta, pod okazałym gmachem. „Zostań tutaj, siadaj na progu tego domu i nie lękaj się niczego. Bóg z tobą!", rzekła jej matka, nachyliła się ku niej, ucałowała ją i zniknęła.

*

CÓRKA SZACHA

Zabłysnął przecudny ranek wiosenny. W dzielnicy żydowskiej we Lwowie, panował spokój. Był to dzień sobotni. Powoli zbierali się mężczyźni i kobiety przed synagogą „Złotej Róży“. Wielkie było ich zdziwienie, gdy zobaczyli na stopniach domu Bożego siedzącą obcą dzieweczkę. Była odziana w książęce szaty i jaśniała urodą jak królewna z bajki. Patrzyła zatrwożona wokoło, a widząc same obce twarze rozpłakała się.

Między zebranymi był i parnas Gminy żydowskiej, rabi Uri Febus i jego żona, dobroduszna Frejda. Przystąpiwszy do dzieweczki, uspokoili ją i zapytali, skąd się tutaj wzięła. Zuzanna opowiedziała im wszystko, co zaszło. Wtedy zwrócił się Uri do swej małżonki: „Zaprowadź małą do naszego domu, niech zostanie u nas, jako nasza córka“.

Rabi Uri był najwybitniejszym Żydem we Lwowie, piastował godność parnasa, t. j. przełożonego gminy, posiadał ogromny majątek i słynął z dobroci serca. Miał tylko jednego syna, który po ukończeniu wyższych uczelni w Polsce, udał się do Padwy we Włoszech, aby tam studjować medycynę. Rodzicom było smutno w domu bez syna, więc przyjęli chętnie Zuzannę i pokochali ją jak własną córkę.

W tym zacnym domu żydowskim zakwitła Zuzanna, niby róża Saronu. Rozwinęło się jej serce i umysł, jej piękność zabłysła w całej pełni. Niebawem wrócił z zagranicy syn parnasa, jako doktór medycyny. Pokochał rychło przybraną swą siostrę i za zgodą ro-

dziców ożenił się z nią. Zuzanna zasłynęła wkrótce jako dobrodziejka i opiekunka ubogich, sierót i wdów.

*

Dziesięć lat tułał się już Szach po świecie. Nie znalazł nigdzie swego zaginionego dziecka. Zmierzył całą Polskę wzdłuż i wszerz, aż przybył pewnego razu do Lwowa. Wszedł w dzielnicę żydowską w piątek popołudniu. Zbliżył się do okazałej kamienicy, gdzie mieszkał r. Uri i jego syn doktor Simcha. Przed bramą kamienicy stała młoda kobieta, a gdy zobaczyła obcego przechodnia zaprosiła go, aby pozostał u nich przez sobotę. Szach się na to zgodził. Przy wieczerzy sobotniej Zuzanna uważnie przypatrywała się gościowi. Przypomniał jej ojca. Słyszała jak odmawiał błogosławieństwo sobotnie, Kidusz, a głos był jej znany, był to głos jej ojca. Obserwowała go przez cały czas, odgadując w gościu utraconego ojca. Całą rzecz powierzyła swemu mężowi. W niedzielę rano Szach pożegnał wszystkich i chciał wyruszyć w dalszą drogę. Młody doktor i jego żona prosili go, by pozostał u nich jeszcze kilka dni.

„Nie mogę się dłużej zatrzymywać, bardzo mi spieszno, bo mam ważną rzecz do załatwienia,“ odpowiedział obcy.

„Czyż możnaby się dowiedzieć, co to za pilna sprawa?“ pytali młodzi.

„Cóż mi pomożecie, gdy wam opowiem? Pozostało mi po rzezi Chmielnickiego jedyne dziecko, cudna jak

aniołek dziewczynka. Przepadła i zniknęła jak kamień w wodzie. Szukam jej już dziesięć lat. Ale wierzę w miłosierdzie Pańskie, że ujrzę ją, nim zgaśnie ma źrenica."

„Mój drogi ojcze, jam twa córka Zuzanna, którą porwał w dniach pogromu możny magnat."

I opowiedziała ojcu dziwne koleje swego życia.

Szach ze wzruszenia padł na miejscu zemdlony. Gdy przyszedł do siebie, dziękował Panu za Jego niezbadane zrządzenia. Odzyskanie córki dodało mu sił do nowego życia. Uspokoił się i zaczął jak przedtem oddawać się pracy naukowej. Wielka Gmina żydowska, dowiedziawszy się, że Szach jest we Lwowie, powołała go na swego rabina i rektora jeszuby.

Zięć jego stał się najsławniejszym lekarzem swego czasu. Potężny król polski, Jan III Sobieski, powołał go na swój dwór i zamianował swym przybocznym lekarzem. Po ojcu piastował Simcha godność parnasa, czyli prezesa Gminy żydowskiej we Lwowie. Był również marszałkiem sejmu żydów polskich. Na wzór pałacu króla Jana zbudował sobie kamienicę, która zachowała się do dni naszych. Nazywają ją „doktorską kamienicą."

Simcha doktór i jego żona, Zuzanna, żyli długo i szczęśliwie i zdziałali wiele dla chwały imienia żydowskiego. W bożnicy „Złotej Róży" znajduje się jeszcze ośmioramienny świecznik bezcennej wartości, ofiarowany przez Zuzannę na wieczystą pamiątkę jej cudownego ocalenia.

WIELKI WTAJEMNICZONY.

Rabi Azarja zwany „Or-Olam — jasność świata“, był wybitnym nauczycielem w Izraelu. Danem mu było służyć Panu w spokoju; posiadał bowiem niezmierne bogactwo, odziedziczone po przodkach. Używał też należycie swego majątku. Ubodzy i sieroty pozostawali pod jego opieką. Zakładał liczne szkoły i utrzymywał mnóstwo nauczycieli, aby mogli oddawać się nauce. Sam poświęcał cały swój czas nauce bożej tak jawnej, jak i tajemnej. U stóp jego siedzieli spragnieni wiedzy i przysłuchiwali się jego słowu. Obdarzył go Bóg mocą czynienia cudów, gdyż jego czyny znalazły łaskę w oczach Pana. Gdy skroń wielkiego nauczyciela pokryła się siwizną, zmiarkował, iż należy pomyśleć o zakończeniu dzieła swego życia. Wiedział, iż pomimo gorliwej pracy naukowej, daleko mu jeszcze do doskonałości, szczególnie w tajemnej nauce mistycznej. A tu w domu gwarno; sprawy publiczne, towarzysze i uczniowie odrywają go od świętych ksiąg. Postanowił przeto opuścić na pewien czas dom i przebywać jako pustelnik w zupełnej samotności. Zdala od ludzi w niedostępnem miejscu chciał oddać się

świętej tajemnej nauce i służbie bożej, by ją potem po powrocie przekazać swoim uczniom. Aby jednak, ani na chwilkę nie być oderwanym od swej pracy, umyślił zabrać ze sobą wiernego służącego.

*

Z licznych sług odpowiadał mu najwięcej Hajzyk. Był to parobek czerstwy, tęgi, posłuszny i pracowity. Hajzyk pochodził ze wsi, był synem ubogiego pachciarza. Wychowany pośród chłopów, nie chodził do szkoły i ledwie umiał czytać z modlitewnika. Po śmierci ojca poszedł na służbę do miasta i był przez dłuższy czas parobkiem do koni u woźnicy. Wkońcu Or-Olam przyjął go na służącego. Hajzyk wychowany na wsi kochał przyrodę, pielęgnował kwiaty, sadził owocowe drzewa i lubił zwierzęta domowe. Naogół wesół, zręczny i śmiały, imał się nawet najtrudniejszej pracy. Jedno miał tylko Hajzyk zmartwienie z powodu którego nieraz pokryjomu zalewał się gorzkiemi łzami. Wstydził się, iż nie rozumiał słów codziennej modlitwy i nie uczył się nigdy w życiu Chumesz. Bibllję znał tylko z tego, co mu matka czytała po żydowsku w sobotę z książki dla kobiet „Cenu urenu“. Z całej duszy pragnął czytać Chumesz w świętym języku tak, jak ją napisał Mosze rabejnu i jak ją rozumie każdy Żyd.

W sobotę podczas nabożeństwa pozostawał zawsze w przedsionku bożnicy i nie wchodził do wnętrza świątyni, wstydził się bowiem Boga, że jest takim nie-

ukiem. Jedynem jego życzeniem było uczyć się jeszcze kiedyś Chumesz. Młodość mu jednak prędko przeszła i nie nadarzyła się żadna sposobność do spełnienia jego marzeń.

*

Otóż tego Hajzyka przywołał do siebie Or-Olam i powierzył mu swój zamiar. „Wyjadę stąd na bezludne miejsce. Chcę byś mi towarzyszył w samotności. W niedostępnych górach pozostaniemy przez dłuższy czas. Chcę się pogrążyć w nauce bożej; tobie przeto poruczam prowadzenie gospodarstwa. Po szczęśliwym powrocie do domu wynagrodzę cię hojnie; kupię ci parę dobrych koni i nowy wóz i staniesz się samoistnym woźnicą.“ — Hajzyk rzucił się do nóg swego pana i błagał: „Litościwy rabinie! Pójdę z tobą i na koniec świata, podejmuję się wszelkiej pracy i nie chcę innej nagrody, jeno byś mnie uczył Chumesz. Umiem ledwo czytać. Wyrosłem pośród chłopów na wsi, ojciec mój, biedny arendarz, odumarł mnie za wcześnie. Nie znam Tory, a takbym pragnął poznać tę świętą księgę!“ Rabin z oburzeniem zawołał: „Cóż ty chcesz, nieokrzesany chłopcze! Właśnie uciekam od swoich uczniów, bym mógł oddawać się w zupełności nauce, a ty chcesz, bym marnował swój drogi czas nad takim jak ty nieukiem!“ Wobec tego oświadczenia sługa nie chciał towarzyszyć mu w wędrówce. Or-Olam długo szukał pomocnika, ale nikt mu nie odpowiadał i ostatecznie zgodził się na warunek Hajzyka.

Bezzwłocznie poczynił przygotowania do podróży.

Rodzinie i bliższym oznajmił, iż wyjeżdża na dłuższy czas do Ziemi-świętej. Na wielki wóz naładował potrzebne rzeczy, odzież i książki; zaopatrzył się również w odpowiednią kwotę pieniędzy.

*

Hajzyk popędził konie i wyruszyli w daleki świat. Przejechali przez siedm gór i siedm rzek i przybyli do krainy górzystej, pokrytej dziewiczymi lasami. Szczyty olbrzymich gór, pobielone śniegiem i lodami, wznosiły się dumnie ku niebu. Tutaj, na jasnej polance, w pobliżu strumyka górskiego postanowili pozostać. Hajzyk przy pomocy pewnego górala wzniósł dwa szałasy. Jeden obszerny i wygodny dla pana i opodal drugi mniejszy dla siebie. Potem wyjechał do górskiej osady, zakupił naczynia, trochę drobiu i kilka kóz. Niebawem byli urządzeni. Hajzyk zajmował się gorliwie gospodarstwem. W swoim szałasie postawił kuchnię, gotował i piekł, doił kozy, hodował kury, gęsi i kaczki, doglądał koni i założył ogródek warzywny. Ryby na sobotę łowił sam zawsze w rzeczułce. Był w swoim żywiole, tańczył i śpiewał przez cały dzień; o wszystkiem pamiętał i starał się, aby na niczem nie zbywało jego panu. Or-Olam żył w samotności bez trosk i mógł się oddawać całkowicie służbie bożej i świętej nauce.

Gdy wszystko było już w porządku, wyjął Hajzyk ze swej walizy stary Chumesz, który pozostał mu po ojcu. Książka ta miała duże litery, a prócz Tory

był tam również komentarz Raszego i tłumaczenie aramejskie, Targum Onkelos i Jonatana ben Uziela.

*

Pewnego wieczora po modlitwie Mariw wszedł do rabina i rzekł pokornie: „Starałem się dogodzić ci w miarę sił, a teraz uczyń mi łaskę i ucz mnie wedle przyrzeczenia“. Rabin, acz niechętnie, rozpoczął z nim Chumesz od Bereszit. I codziennie przerabiał z nim kilka zdań. Sługa powtarzał pilnie, aż umiał każdą lekcję napamięć. Ale im dalej zapuszczał się w biblję, tem mniej rozumiał jej treść. Nie pojął związku zdań i myśli. Poprosił pana o wyjaśnienia, lecz rabin zniecierpliwiony odparł: „Zaczekaj trochę, dojdziemy już do tego; później zrozumiesz lepiej“.

Przerobił całą pierwszą księgę, umiał ją prawie napamięć, ale nie pojął jej sensu. — Wciąż pytał się natarczywie, a rabin na to: „Przecież tłumaczy to jasno jak na dłoni Onkelos, a tamto trafnie objaśnia Raszi!“ „Cóż z tego! Kiedy ja nie rozumiem ani Onkelosa, ani Rasziego“, mówił biedaczysko ze łzami w oczach.

„Któż ci winien, że masz taką zakutą głowę. Do koni ci, a nie do Chumeszu.“

Hajzyk wrócił do swego szałasu złamany, życzenie jego spełzło na niczem. Już dwadzieścia miesięcy spędza w górach, męczy się nad siły i niczego się nie nauczył. Czy ma po wszystkiem wrócić z próżnemi rękoma i pozostać nieokrzesanym gburem przez całe życie? Rozpacz ogarnęła jego duszę.Otworzył Chumesz

i zawodził: „Stwórco świata! Jeśli jest wola Twoja, bym został nadal nieukiem, zabierz sobie moją duszę. Nacóż mi moje życie bez Twojej Tory!“

Od tego wieczora gorączka trapiła parobka. Nie tknął jadła i napoju, nie sypiał po nocach, siły go opuściły i chodził jak cień. Obsługiwał swego pana jak dotychczas, ale nie przychodził doń więcej na naukę.

Or-Olam nie zauważył tego, co się działo w duszy jego sługi; owszem był zadowolony, że mu nie przeszkadza więcej w pracy swojemi natrętnemi prośbami.

Hajzyk tymczasem zwolna gasł, dusza jego wznosiła się już do odlotu.

*

W niebie wiedzą o wszystkiem, co się dzieje na naszym padole. Patrzą stamtąd na ziemię, jak na otwartą księgę. Opatrzność opiekuje się wszelkimi tworami, od nędznego robaczka, marnej trawki aż do niebotycznych olbrzymów. Ujrzano w niebie, co się dzieje na ziemi i rozległo się szemranie: Jakto? Biedny sierota umiera przed swoim czasem! Serafini i Ereli otoczyli tron Pański i zawodzili: „Stwórco wszechświata! dałeś ludowi swemu Zakon na jego utrapienie i zgubę. Jedni giną z rąk bezbożnych, bo uczą się twej Tory. Hajzyk znów umiera wskutek tęsknoty za nauką! Wszak ty sam napisałeś: „Wechaj bahem“, Tora stanie się dla nich źródłem życia.

Pan w nieprzebranem swem miłosierdziu przywołał

zaraz syna Amrama i kazał mu posłać z nieba nauczyciela sierocie. Mistrz nasz zebrał uczonych w piśmie i pytał się ich, ktoby miał ochotę uczyć młodziana. Pierwszy zgłosił się rabi Jonatan ben Uzieł.

Był on podczas swego bytowania na ziemi tłumaczem Pisma św. — Niezliczeni uczniowie siedzieli u stóp jego, a on objaśniał im Torę w sposób jawny i tajemniczy. Podczas jego wykładu unosił się nad nim zawsze słup ognisty, sięgający aż ku niebu; a ptaki, które przelatywały przez tę jasność spadały zwęglone na ziemię.

*

Następnej nocy we śnie ukazał się Hajzykowi zmarły jego ojciec i przemówił do niego: „Uspokój się, mój synu, Bóg widział twoje utrapienie, ulitował się nad tobą i pośle ci z niebios wytrawnego nauczyciela. Zawsze o północy przyjdzie do ciebie r. Jonatan ben Uzieł na lekcje Chumesz. Jutro rano zanurz się siedm razy w leśnym ruczaju. Wdziej świąteczne szaty i przyjm w czystości i spokoju posłańca bożego“.

Sierota spełnił rozkaz ojca. O północy zabłysła nagle wielka światłość. Drzwi szałasu się otworzyły i wszedł dobrotliwy mistrz. Podał mu na przywitanie dłoń, usiadł przy stole, otworzył Chumesz i zaczął z nim znowu od Bereszit. Nauczyciel tłumaczył mu cierpliwie i dokładnie każde słowo, każdą literkę i każdy znaczek Pisma. Gdy Hajzyk zrazu nie rozumiał czegoś, powtarzał mu poraz wtóry, dziesiąty i setny. Po

nauce znikał nauczyciel, a młodzian zasypiał do białego dnia.

Z początku szła nauka opornie, wolnym krokiem, lecz wkrótce spadły mu jakby łuski z oczu, przejrzał, serce jego odtajało jak lód pod ciepłymi promieniami wiosennego słońca. Cudowny mistrz objawił mu tajemnicę bytu, wszelką mądrość i wiedzę wedle sposobu, w jaki uczą w niebiosach.

Hajzyk wyzdrowiał rychło i znowu wróciła mu ochota do życia. Śpiewał z ptaszkami, tańczył z leśnemi zwierzętami. Zakwitł jak kwiat polny, rozrósł się jak młody dąb.

Usługiwał jak zwykle rabinowi i przy robocie nucąc powtarzał przerabiane lekcje. Tak minęło mu w odludnem ustroniu drugich 20 miesięcy.

*

Pewnej nocy zbudził się Or-Olam i zauważył przez okno jakąś jasność w hajzykowym szałasie. Myśląc, że wybuchł tam pożar, zerwał się i wybiegł na pomoc. Stanąwszy przed szałasem, zobaczył, że łuna otoczyła szałas, i jakaś jasność bije ze środka. Nagle wszystko zgasło, cisza zapanowała głęboka i szałas stał nienaruszony. Or-Olam wrócił do siebie myśląc, że to tylko jakieś złudzenie.

Innym razem zerwał się o północy i znowu ujrzał gorejące płomienie w sąsiednim szałasie. Zarzucił na siebie płaszcz i zbliżył się ostrożnie do płonącego szałasu. Teraz dopiero pomiarkował, że jest to ogień, który

tylko świeci, lecz nie pożera. Zrozumiał tedy, iż wchodzą tutaj w grę tajemne nadludzkie moce.

Nazajutrz, gdy sługa przyniósł mu wodę do mycia, oglądał go bacznie. Teraz dopiero zauważył jak się Hajzyk zmienił nie do poznania. Zmężniał, wyrósł jakby cedr. Twarz kwitła zdrowym rumieńcem, oczy promieniały blaskiem nadziemskim. Rabin zapytał go, co to za światłość jaśniała o północy w jego szałasie. „Nie wiem o niczem" — odpowiedział — „spałem jak zabity, może to odblask księżyca". — „Słuchaj synu", zaczął łagodnie rabin, „zaklinam cię na imię Przedwiecznego, niczego nie wolno ci zataić przedemną".

Sługa opowiedział mu tedy szczerą prawdę: że R. Jonatan ben Uziel przychodzi do niego, uczy go Chumesz i objawia mu tajemnicę Tory. Rabin zadał mu kilka pytań i z jego odpowiedzi przekonał się, że młodzian wstąpił już do tajemniczego Pardesu.

„Mam do ciebie prośbę synu", rzekł rabin, „jak o północy przyjdzie znów święty mistrz, zostaw otwarte drzwi szałasu, wejdę i poproszę go, bym także mógł wam towarzyszyć przy nauce".

*

Następnej nocy, gdy tylko ukazała się jasność, Or-Olam chciał wejść do hajzykowego szałasu, lecz u progu leżał groźny, ognisty lew i nie wpuścił go do wnętrza. Zrozpaczony rabin wołał i błagał boskiego mistrza, by mu pozwolił wejść i przysłuchiwać się wykładowi. Na to rozległ się głos ben-Uziela z namiotu: „Twej prośbie nie mogę uczynić zadość, gdyż nie

jesteś jeszcze dostatecznie przygotowany do korzystania z mej nauki. Twe serce nie jest należycie czyste, twój umysł nie jest dość jasny, abyś mógł pojąć moje słowa!“

Wtedy wstawił się za nim Hajzyk. Niebieski mistrz, wzruszony prośbą wdzięcznego sługi, odezwał się poraz wtóry: „Gwoli prośbie umiłowanego ucznia mego pozwalam ci korzystać z moich wykładów w następujący sposób: Jutro rano odmierz od progu tego szałasu na lewo trzy razy po trzydzieści łokci. Tam znajdziesz wielki omszały kamień. Otocz tedy ten kamień potrójnem kołem i na tym kamieniu w tem potrójnem kole zasiadaj co nocy podczas naszej nauki. Natężaj słuch, a co usłyszysz zachowaj wiernie w pamięci. Czego zaś nie zdołasz zrozumieć, ani pojąć, tego nie usłyszysz wyraźnie, doleci do Ciebie tylko jako dźwięczne brzmienie, jako melodja bez słów.“

*

Co nocy Or-Olam zawinięty w długi płaszcz, zasiadał na twardym głazie. Czekał cierpliwie, pogoda, czy deszcz, wicher, czy mróz, aż zstąpi promienisty mistrz z wyżyn. Natężał słuch i nie uronił słowa z tego, co mówił r. Jonatan ben Uziel. Co dusza jego godną była pojąć i zrozumieć, dolatywało do jego uszu i słyszał wyraźnie. Poza tem słyszał tylko jakieś niepojęte dźwięki, jakby brzęczenie pszczół. Lecz i te niezrozumiałe dźwięki orzeźwiały jego duszę; podobne do harmonji chórów niebiańskich koiły jak balsam Gileadu jego zbolałe serce.

Tak znowu przeszło im ostatnie dwadzieścia miesięcy.

*

Upłynął czas oznaczony. Spełniło się przeznaczenie. Minęło trzy razy po dwadzieścia miesięcy. Pustelnicy opuścili swe szałasy, zostawili za sobą niebotyczne góry i wrócili do siedzib ludzkich i po mozolnej podróży przybyli do rodzinnego grodu. Wszyscy obywatele miasta wyszli na przyjęcie wielkiego swego rabina i dobrodzieja. Jego towarzysze i uczniowie czekali z tęsknotą na jego naukę. Lecz Or-Olam wrócił do domu zmieniony zupełnie. Postarzał się, posiwiał jak gołąb, był zgarbiony i schylony. Krok jego stał się chwiejny i niepewny, a wzrok ponury i przygasły. Nie przywitał się z dostojnikami miasta, nie przyjął nikogo u siebie. Nie ukazał się w szkole i nie zasiadł w kolegjum rabinów. Stronił od ludzi; oddawał się tylko swoim myślom.

Po jakimś czasie Or-Olam zaniemógł ciężko. Czując, że dnie jego są policzone, posłał po przełożonych gminy i patronów szkoły, aby im przekazać swą ostatnią wolę. Do zebranych dygnitarzy tak przemówił: „Opuszczam ten znikomy świat, śpieszno mi do nieba, by tam poznać na wyżynach, tajemnice Tory u stóp r. Jonatana ben Uziela. Na moje miejsce, jako wasz przewodnik niech zasiędzie sługa mój, Hajzyk. Przed wyjazdem przyrzekłem mu, uczynić go za wierną służbę samoistnym woźnicą. Przez cały czas naszego pobytu w odległej krainie sprawował się znakomicie.

Niechaj więc zato zawiezie swój naród do najszczytniejszego celu: do cnoty i doskonałości. Zna on dobrze drogę do Boga i nie zbłądzi nigdy na manowce. Zaiste, Wielki Wtajemniczony zna tajniki bytu jak nikt z pośród was. Bezpiecznie możecie mu poruczyć swe sumienie i przyszłość waszej młodzieży. On moim dziedzicem i spadkobiercą niechaj będzie dla zbawienia Izraela.“

— — — — — — — — — — —

Następcą Or-Olam'a, stosownie do jego ostatniej woli, został jego sługa, Hajzyk. Niebawem zasłynął młody rabi Izak, zwany: „Wielki Wtajemniczony“, głęboką nauką bożą i potęgą ducha.



R. IZRAEL BAL-SZEM.

W osiemnastym wieku było położenie żydów w Polsce bardzo smutne. Po strasznych pogromach i rzeziach Chmielnickiego nie mogli się więcej podnieść materjalnie. Wszędzie panowało wielkie ubóstwo. Podupadły również i sławne szkoły, zgasło światło nauki. Uczeni zginęli od nożów rozbestwionej tłuszczy lub ratując swe życie uchodzili zagranicę. Żydzi mieszkali po miastach w ciemnych, ciasnych uliczkach, w zapadłych domkach i trudnili się drobnym handlem. Młodzież pozostawała cały dzień w chederach i nie znała pięknego świata bożego. Wychowanie ich było jednostronne, ślęczeli tylko nad księgami, nie oglądali przyrody, nie cieszyli się swoją młodością. A nie było wtedy nikogo, ktoby ten biedny lud wyrwał z ciemności i wyprowadził ku swobodzie, ktoby młodzieży zwrócił wesołą wiosnę, a dorosłym radość życia. W tym to czasie właśnie wystąpił Izrael syn Eleazara i począł głosić naukę o radości życia, wznosząc snop światła w ponure przybytki swoich braci.

*

R. IZRAEL BAL-SZEM

Żył w Polsce bogobojny mąż imieniem Eleazar. Dzierżawił małą karczmę u możnego szlachcica. W młodości dostał się do niewoli tatarskiej. Uprowadzony do dalekiego kraju, sprzedany został możnemu bejowi tureckiemu. W niewoli pozostał wierny religji swoich ojców. Ponieważ odznaczał się wiernością i mądrością, znalazł łaskę w oczach swego pana i przez niego doszedł później do wielkiego znaczenia. Nie chcąc żyć pośród obcych porzucił jednak zaszczyty i majątek i uszedł napowrót do domu, do swoich. Tu znów osiadł na arendzie i prowadził skromne i bogobojne życie. Był bardzo dobroczynny, ręka jego była otwarta dla każdego, żadnego ubogiego nie pytał jakiego jest wyznania czy pochodzenia. Miał tylko jedno wielkie zmartwienie: smucił się, że Bóg nie obdarzył go potomstwem.

Pewnego razu w sobotę, gdy siedział ze swoją żoną przy obiedzie, zajechała przed jego karczmę fura, z której wysiadł woźnica Żyd i wszedł do izby. Eleazar, choć wiedział, że Żyd znieważył święty dzień sobotni, nie czynił mu z tego powodu żadnego wyrzutu. Owszem przyjął go bardzo uprzejmie. Zaprosił do stołu, podał mu najlepsze potrawy przygotowane na sobotę, śpiewał z nim nabożne pieśni i gościł go aż do wieczora. Po sobocie dopiero nieznany Żyd odjechał. Na pożegnanie dziękując za gościnność, rzekł nieznajomy do gospodarza: „Jestem prorokiem Eljaszem. W nagrodę, że nie łajałeś mnie i nie karciłeś mojego przewinienia, błogosławię Ci. Spełni się Twoje życze-

nie, narodzi się wam syn, który oświeci oczy ludu izraelskiego.“

Przepowiednia cudownego gościa spełniła się niebawem. Mimo podeszłego wieku, urodził się im synek śliczniutki jak aniołek, któremu dali imię Izrael.

Uszczęśliwionym rodzicom nie było jednak dane wychować swego jedynego dziecięcia. Matka zmarła w pierwszych miesiącach jego dzieciństwa, a wkrótce podążył za nią i Eleazar. Umierając objął ojciec chłopczyka, błogosławił go i rzekł: „Nie jest mi danem wychować Ciebie, lecz nie bój się, opiekunem twoim jest Bóg, o nim myśl, gdyż będzie On zawsze z tobą.“

*

Przez pamięć dla bogobojnego Eleazara, gmina żydowska w Okopach zaopiekowała się sierotą. Gdy miał sześć lat oddano go na naukę do chederu. Z początku podobała się sierocie nauka, szybko nauczył się czytać i rozpoczął już biblję z komentarzem Raszego, lecz podrósłszy zostawiał często cheder i gemarę i wymykał się do lasu, na pole i kwieciste łąki. Tu było cudownie jasno, a tam w ponurej izdebce chederu zimno i ciemno. Ten piękny świat przyrody, to jakby wspaniała synagoga. Pokrywa ją błękitne sklepienie niebieskie, w pośrodku jaśnieje słoneczko, niby błyszczący wielki świecznik w świątyni, „Ner tamid“. Przy ołtarzu stary las, chazan, chyli się na wszystkie strony w zapale modlitwy, a wtóruje mu wielki chór tworów wszelakich.

Niespokojny o ucznia podążał za nim nauczyciel i znajdował go zwykle, siedzącego na polance lub przysłuchującego się szmerowi strumyka. Gdy i później wyrywało się pacholę coraz gwałtowniej na świat boży, zaczęto go uważać za niezdolnego do poważnej nauki i pozostawiono mu zupełną swobodę. Teraz dopiero mógł bez przeszkody czytać we wspaniałej księdze boskiej przyrody.

Gdy podrósł, musiał myśleć o sobie, gdyż gmina nie chciała więcej łożyć na jego utrzymanie, bo zawiódł ich nadzieje i nie uczył się w jeszubie. Przyjął tedy miejsce pomocnika (belfera) u pewnego nauczyciela. Jego zadaniem było odprowadzać dzieci do bożnicy i do szkoły. Izrael był w swoim żywiole, zaczęło się dla niego cudowne życie. Po drodze uczył dzieci śpiewać śliczne piosenki, których nauczył się od ptaszków niebieskich. Płynęły dziecięce głosy hen pod niebiosa. A Stwórca radował się; milsze mu były te piosenki dzieci, nad ofiary i kadzidła. Nie podobało się to szatanowi. Przybrał postać groźnego wilka i napadł na dzieci. Izrael jednak laską swoją odpędził drapieżcę. I dalej nucił ze swą dzieciarnią słowicze piosenki na cześć Pana, objawiającego się w cudownej przyrodzie.

Gdy Izrael stał się Bar-micwą, został szamesem w Bethamidraszu, to znaczy sługą szkolnym. Rano robił porządki, zamiatał w uczelni, przynosił wodę, a w zimie palił w piecu. Marny zarobek starczył mu zaledwie na utrzymanie. Przez cały dzień przebywał w samotności. Nikt nie wiedział, dokąd idzie i skąd

przychodzi. W nocy zaś, gdy wszyscy udali się na spoczynek, korzystał z bogatego księgozbioru uczelni i studjował do białego rana.

*

Pewnego razu przyniósł mu jakiś nieznajomy, rękopis sławnego cudotwórcy. Wtedy opuścił rodzinne swe miejsce i przeniósł się do odludnej miejscowości w Karpatach. Dziki i romantyczny widok roztoczył się tu przed jego oczyma. Wszędzie niebotyczne szczyty, bezdenne przepaście i urwiska, huczące wodospady, dziewicze lasy, woniejące hale. Tutaj wzniósł sobie szałas. Na chleb zarabiał, kopiąc glinę i wożąc ją na małym wózku na sprzedaż do pobliskiego miasta. Żył na łonie natury, kąpał się w ruczaju górskim, wspinał się na niedostępne wierzchołki, pogrążając się w myślach o przyrodzie i Stwórcy.

Pewnego razu zauważyli górale pasący tam swoje bydło, jak w zamyśleniu zbliżył się nad brzeg przepaści. Ze zgrozą krzyknęli, by przystanął, lecz on nie zważał na ich wołania. Przerażeni myśleli, że runie lada chwila w bezdenną przepaść. Nagle podsunął się przeciwległy szczyt, nachylił się ku niemu, a on jakby po moście poszedł dalej. Dopiero po jego powrocie szczyt powrócił na swoje miejsce.

W tym czasie wyuczył się Izrael mowy ptaków i zwierząt, zrozumiał szum drzew i drżenie kwiatów. Poznał własności lecznicze każdego ziela i trawy.

Tak mu przeszła wiosna życia. W wielkiej szkole przyrody przygotował się do swego powołania. Cze-

kał cierpliwie, aż będzie mógł wystąpić jawnie jako przewodnik i nauczyciel swego ludu. Od czasu do czasu opuszczał góry i lasy, wędrując i nauczając po Podolu, Rusi i Wołoszczyźnie. Przebywał rzeki po drodze, rzucając na nie swój płaszcz. Góry usuwały się z drogi. Drapieżne wilki chodziły za nim jak wierne psy.

Stu głodnych nakarmił jednym bochenem chleba. Leczył chorych, kładąc swe dłonie na ich czoło. Opiekował się opuszczonemi dziećmi i sierotami. Biednych obdartusów chronił od zimna i mrozu. Nie czynił różnicy między ludźmi. Kochał i pieścił. Miłował przyrodę i wszystkie twory boskie. Głosił wszędzie nową naukę o radości życia. Wszystkich cudów dokonał zapomocą tajemniczego imienia bożego. Zwolna stał się „mistrzem Imienia“ czyli Bal-szemem.



WESELE.

Za czasów Bal-szema położenie żydów było bardzo ciężkie. Trudnili się przeważnie drobnym handlem lub dzierżawili arendę u możnych panów, właścicieli rozległych dóbr ziemskich. Taki dziedzic był władcą życia i śmierci swoich poddanych i obchodził się z nimi nieraz w nieludzki sposób, a pachciarze musieli mu płacić wygórowane czynsze.

W owym czasie mieszkał na wsi pewien biedny arendarz. Dzierżawił on zapadłą karczmę u srogiego szlachcica. Długo borykał się ze swoim losem, miał bowiem liczną rodzinę, a pan żądał ciągle podwyżki. Na ostatku podupadł zupełnie, nie miał z czego żyć i panu pozostał dłużnym trzysta talarów. Gdy pomimo licznych upomnień arendarz nie wyrównał długu, bo nie miał grosza, rozjuszony szlachcic wyrzucił Żyda z karczmy i zamknął go z żoną i z dziećmi do ciemnego lochu. Tam trzymał ich o chlebie i wodzie przez kilka tygodni. Potem jednak pomyślał sobie, że więźniowie gotowi mu umrzeć z głodu, a pieniądze przepadną. Wiedząc, że Żydzi są litościwi i pomagają sobie w potrzebie, użył następującego sposobu: Kazał

arendarza, jego żonę i pięcioro dzieci skutych w ciężkie kajdany zawieźć do pobliskiego miasta, gdzie mieszkało dużo Żydów. Tam postawił ich ekonom pański pod strażą zbrojnych siepaczy przed bożnicą. Ekonom uderzył w miedziany kocioł i obwieścił zebranym: „Ten złoczyńca winien jest wielmożnemu panu trzysta talarów. Jeśli nie złożycie tej kwoty do wieczora, zginą wszyscy z ręki oprawcy“.

Uwięziona rodzina zalewając się łzami, opowiadała zebranym o srogim dziedzicu, który nie zna litości; od tygodni trzyma ich w ciemnicy i morzy głodem. Mieszkańcy miasta byli sami ubodzy, żałowali ich bardzo, zawodzili razem z nieszczęśliwymi, ale nikt nic nie zrobił; każdy wzruszony wzdychał ciężko, nie żałował słów pociechy... i odchodził za swojemi sprawami.

*

Tak minął cały dzień i niebawem miał wrócić ekonom z więźniami do domu. Koło wieczora przeszedł tamtędy Berek. Był to tęgi 24-letni robociarz, służył za parobka u zamożnego gospodarza. Dziesięć lat ciężko pracował i miał zaoszczędzonych sto pięćdziesiąt talarów. Widząc niedolę i rozpacz biednej rodziny postanowił ich ratować. Miał jednak tylko połowę okupu. Pobiegł więc do krewnej swojej, Cypory, która była służącą u innego państwa. Pytał się jej czy posiada jakieś pieniądze, bo koniecznie należy ratować od zagłady biedną rodzinę. Cypora na to: „służę od śmierci rodziców i złożyłam sobie sto pięćdziesiąt talarów“.

„Wyśmienicie się układa“, rzekł Berek, „złożymy razem trzysta talarów i ocalimy od niechybnej zguby siedm dusz żydowskich. Sami biedni odczuwamy nędzę nieszczęśliwych. Wielką jest łaska Boża, że możemy na tak wzniosły cel użyć naszych oszczędności.“ Cypora bez wahania oddała mu swoich sto pięćdziesiąt talarów, na które pracowała od pierwszej młodości; żałowała tylko, że nie ma więcej, przydałoby się im trochę pieniędzy gdy będą uwolnieni. Berek niezwłocznie oddał ekonomowi cały dług, a ten wypuścił uwięzioną rodzinę na wolność. Uszczęśliwieni dziękowali Bogu za wyzwolenie z rąk okrutnika i poszli szukać przytułku w mieście pośród Żydów.

*

Potem poszedł Berek do Cypory i tak przemówił do niej: „Słuchaj, Cyporo, ponieważ okazałaś tyle szlachetności i ofiarowałaś cały swój ciężko zapracowany grosz dla ocalenia bliźnich, okazałaś się prawdziwą córką Izraela. A teraz uczyń i mnie wielką łaskę, zostań moją żoną. Wprawdzie jesteśmy ubodzy, bo oddaliśmy nasze oszczędności i jesteśmy sierotami bez rodziców, żyje jednak nasz dobry Ojciec w niebiosach. On nas nie opuści. Nie powinniśmy dłużej pozostać w służbie, bo nie możemy się pobrać i marny jest nasz zarobek. Udajmy się do mego wuja, który niedaleko Lwowa ma wielką dzierżawę, u niego znajdę zajęcie, pobierzemy się i Bóg nam dopomoże“. Cypora zgodziła się na to, bo odpowiadał jej dobroduszny

i pracowity Berek. Wypowiedzieli służbę i za kilka dni wyruszyli piechotą do Lwowa. Berek dźwigał na barkach duży plecak, w którym znajdował się cały ich dobytek, szli ochoczo i śpiewali przez całą drogę. Wędrowali tak całusienki dzień, koło wieczora zobaczyli przydrożną gospodę, gdzie postanowili odpocząć i przenocować.

*

W niebie panowała wielka radość, gwoli wspaniałomyślności tych dwojga sierót. Anieli Pańscy wznieśli hymn pochwalny na cześć Najmiłosierniejszego. Słońce lśniło przedziwnie na świątecznie jasnym nieboskłonie. Dzień ten był chyba najpiękniejszym od stworzenia świata. Strumyczki szumiały wdzięcznie, aby uprzyjemnić drogę wędrowcom. Kwiatki wydawały rajską woń, dla orzeźwienia strudzonych, ptaszki nuciły najweselsze swe pieśni, a pagórki skakały z radości jak płoche źrebięta...

Z wyżyn wysłano proroka Eljasza do Balszema z poleceniem, aby przygotował wszystko, co jest potrzebne na wesele dla dwojga sierót i aby raźno wyjechał do gospody na gościńcu lwowskim i wieczorem połączył ich dozgonnym węzłem małżeńskim wedle zwyczaju żydowskiego.

— — — — — — — — — — —

Balszem bezzwłocznie kupił mąkę, ryby, mięso i wino. Zabrał ze sobą szaty weselne dla narzeczonej, talit i kitel dla pana młodego; chupę, ketubę (zapis ślubny) i złotą obrączkę ślubną. Kazał swemu woźnicy

Aleksemu zaprząc konie i w towarzystwie kilku oddanych uczniów lotem błyskawicy popędził do owej gospody.

Gospodarz należał do zwolenników Balszema i przyjął go bardzo uprzejmie.

— Dziś wieczór ma się odbyć tutaj wesele, przybędą dostojni gości, — rzekł Balszem — przywiozłem, co jest potrzebne, staraj się, by wszystko było gotowe na czas.

Gospodarz ze swoją czeladzią zabrali się zaraz do roboty...

Berek i Cypora weszli właśnie do tej gospody. Gdy dowiedzieli się, że czynią przygotowania do wesela, prosili gospodarza, by pozwolił im pomóc przy robocie, chcą zarobić coś przy tem i posilić się z tego, co pozostanie z wieczerzy weselnej. Gospodarz chętnie skorzystał z ich współpracy. Niebawem zaczęli się zjeżdżać dostojni goście. Balszem zapytał się gospodarza, czy przybyła jakaś młoda para.

— Jest tylko jakiś parobek i jakaś kucharka — odrzekł zagadnięty.

— To właśnie nasi państwo młodzi.

Balszem zwrócił się do Berka i Cypory:

— Wiemy o waszem sieroctwie i chcemy wam sprawić huczne wesele.

Postawiono chupę. Narzeczeni włożyli ślubne szaty. Drużbowali sierotom nasi praojcowie i pramatki. Abraham i Sara prowadzili Cyporę, Izak i Rebeka prowadzili Berka pod baldachim. Jakób i Rachela po-

błogosławili młodej parze. Balszem dawał im ślub podług prawa Mojżesza i Izraela. Uczta weselna była wspaniała. Król Dawid przygrywał na arfie. Tańczono ochoczo. Prorok Eljasz wygłosił mowę, draszę weselną. Zabawa trwała do późna w nocy. Następnie pobłogosławiwszy nowożeńcom rozjechali się dostojni goście.

*

Nad ranem chciała młoda para udać się w dalszą drogę, lecz gospodarz, będąc świadkiem uroczystego ślubu i widząc jak Balszem się nimi opiekował, zatrzymał ich u siebie przez kilka dni, a potem odprowadził ich swoim powozem do Lwowa.

Już byli blisko celu, gdy wypadło im przenocować w pewnym domu zajezdnym. W nocy zbudził ich gwałtowny alarm pożarny. Zerwali się i zobaczyli, że dwór dziedzica, księcia Radziwiłła, stał w płomieniach. Pobiegli wszyscy na miejsce katastrofy. Groźny widok przedstawił się ich oczom: Morze płomieni objęło cały dwór książęcy i wszelki ratunek był niemożliwy. Księżna pani rozpaczała i zanosiła się od płaczu, gdyż w sypialni na piętrze pozostał jej jedyny, sześcioletni synek, pogrążony we śnie. Księcia nie było w domu, nikt nie śmiał się zbliżyć do płonącego domu. Księżna błagała, ofiarowała cały swój majątek w nagrodę za ocalenie dziecka, ale nadaremnie. Berek usłyszawszy, że życie ludzkie jest zagrożone, rzucił się bez namysłu w szalejący żywioł. Zgroza ogarnęła wszystkich, uważano go za straconego, lecz za chwilkę ukazał się

z chłopcem na rękach na płonącym balkonie. Szaty i włosy mu się zajęły, twarz i ręce były poparzone, Śmiałek zręcznie zeskoczył z dzieckiem szczęśliwie nadół i oddał uradowanej matce jedynaka. Przybyły w tej chwili książę podziwiał heroizm Żyda. Ofiarował Berkowi z wdzięczności w nagrodę wielki majątek, lecz on nie chciał przyjąć żadnej zapłaty.

Spełniłem tylko swój obowiązek wobec bliźniego. Jestem Żydem i pamiętam zawsze, co nam nakazuje nasza Tora: „Kochaj bliźniego jak siebie samego i nie stój bezczynnie, gdy krew ludzka, t. zn. człowiek, znajduje się w niebezpieczeństwie".

Książę wzruszony wspaniałomyślnością Berka, nie chciał go więcej puścić od siebie. Oddał mu w dzierżawę spory folwark z bogatym inwentarzem, t. j. z urządzeniem, końmi i bydłem. Berek i Cypora zabrali się do pracy na własnem gospodarstwie. Bóg pobłogosławił ich usiłowaniom i doszli do dobrobytu. Stali się opiekunami ubogich i śpieszyli zawsze z pomocą wszystkim bliźnim, znajdującym się w potrzebie. Znaleźli przeto łaskę i uznanie w oczach Boga i ludzi.



OPOWIEŚĆ BAL-SZEMA.

U schyłku soboty po „hawdali“ siedział zwykle Bal-szem w swoim wygodnym fotelu, zatopiony w myślach. Uczniowie otaczali go jakby wieńcem rajskich kwiatów. Półszeptem śpiewali na cześć odchodzącej królowej soboty mistyczną i rzewną pieśń: „El’jahu hanabi, Eljahu hatiszbi“ Bal-szem palił fajkę, a cały pokój przesycony był wonnym dymem. Tymczasem przygotowywano do wieczerzy na pożegnanie królowej soboty „mlawe-malka“, a furman Aleksy poił konie i ładował wóz do zwykłej posobotniej przejażdżki. Wieczornica „mlawe-malka“ trwała przeważnie do północy, a Bal-szem opowiadał wtedy swym uczniom, co oglądał w czasie swych wizyj.

Pewnego razu po hawdali, pozostawał Bal-szem dłużej niż zwykle pogrążony w zadumie. Nad głową jego unosiła się jakby tajemnicza światłość, a uśmiechnięta twarz jaśniała jak zorza. Gdy się nareszcie ocknął, kazał podać wieczerzę na pożegnanie świętej soboty i zanucił z uczniami wesołą pieśń: Al tira abdi Jakob (nie bój się sługo mój Jakóbie!). Potem zaczął im opowiadać swoją wizję:

„Pamiętacie pewnie zgasłego niedawno bałagułę (furmana) Josla, Żyda-chłopa, nieumiejącego się nawet modlić z sideru. Tego prostaka widziałem teraz właśnie w raju pośród naszych prapraojców i naszych wielkich cadikim (sprawiedliwych). Zdziwiony spytałem, skąd on się tam wziął. Opowiedziano mi na to ciekawą historję:

Josel był zwyczajnym bałagułą, prostakiem i nieukiem. Na przykazania boże nie zważał wcale. Pilnował tylko swych koni i przewoził towary i pasażerów. Nie przestrzegał soboty, ani święta. Nie umiał się modlić, wszak nie chodził za młodu do chederu. Dla takiego człowieka jest przyszłe życie prawie stracone. Ale któż może wiedzieć, do czego zdolna jest dusza żydowska!

Pewnego razu w zimie, w miesiącu Tebet, kiedy mróz sroży się najbardziej, jechał Josel swoim ciężko naładowanym wozem ze Lwowa do Brodów. Mróz był trzaskający, tumany śniegu unosiły się w przestworzu, zawierucha szalała gwałtownie. Konie ledwo ciągnęły wóz. By ulżyć koniom i ogrzać się trochę, zlazł Josel z wozu i szedł obok koni. Był ubrany w długi kożuch, wysokie buty i wielką baranią czapkę. Nagle zobaczył na gościńcu leżącego w śniegu człowieka. Omal nie stratowały go konie. Zatrzymał furę i wyciągnął z pod śniegu skostniałe ciało ludzkie. Biedaczysko pewnie już długo tam leżał, bo ani tchu w nim nie było. Josel podniósł go, włożył na swój wóz, i ze wszystkich sił zaczął go nacierać śniegiem. Ogrzał go

własnym oddechem, wyjął ze swej torby flaszkę okowity (którą zawsze miał pod ręką) i wlał mu do ust wódkę. Zamarzniętemu młodzieńcowi powoli wracało życie. Josel zdjął ze siebie futro i baranią czapkę i okrył biedaka.

Około wieczora zajechał do przydrożnej karczmy, aby tam przenocować. Zaniósł młodzieńca, który już przyszedł do siebie, do gospody i kazał sobie i swemu gościowi podać obfitą wieczerzę i gorącą herbatę. Posiliwszy się opowiedział młodzieniec swemu dobroczyńcy, że jest uczniem jeszuby (akademji talmudycznej) lubelskiej, był właśnie na Chanuka u swych rodziców w Mikołajowie koło Lwowa, a teraz wraca do uczelni. Josel, który był w wyśmienitym humorze, zaczął wyśmiewać swego gościa: „Ach ty nicponiu, jakże można w taki mróz puszczać się w tak daleki świat piechotą, do jakiejś tam jeszuby i w dodatku w aksamitnym kapelusiku i kitajowej bekieszy. Poco ta młodzież łazi do tych szkół, czy za mało mamy tych nierobów, ślęczących nad bibułami? Wszyscy garną się do jeszubot, chcą tylko być „morejnami“ i trudno dostać chłopca do koni. Ot, przyjąłbym parobka, mógłby się u mnie nauczyć czegoś porządnego, zostać później bałagułą, ale cóż zrobić, gdy tych próżniaków ciągnie do Lublina.“

Nazajutrz wziął go ze sobą do Brodów, ciągle go namawiając, by przystał do niego. W Brodach Josel wyładował swoje towary i miał wrócić z pasażerami

do Lwowa. Młodzieniec przyszedł pożegnać się z nim, by udać się znowu pieszo do Lublina. Ale woźnicy żal się zrobiło młodego bachura. Zima ciągle taka sroga, mróz doskwiera jak rozżarzone żelazo, pewnie nicpoń powtórnie zamarznie na gościńcu, jeszcze go pożrą wilki. Nie chce być człowiekiem, niech się bodaj uczy. Co zrobić, takie to już pokolenie. Josel zrezygnował z nadarzającego się zarobku i odwiózł bachura swymi końmi do jeszuby lubelskiej.

*

Minęły lata. Biedny bachur jeszuby wyrósł na sławnego uczonego rabi Barucha z Witebska. Życie jego poświęcone było nauce bożej i dobrym uczynkom. Tysiące uczniów siedziało u jego stóp i słuchało z upragnieniem jego nauki. Słynął jako wzór skromności, miłosierdzia i dobroci. O swym zbawcy nigdy nie zapomniał i prosił Boga o błogosławieństwo dla niego.

Za wcześnie odwołał Pan rabi Barucha z tego świata. Otworzono zaraz cnotliwemu Baruchowi jasny raj i zapytano go, kogoby chciał mieć za towarzysza i sąsiada. „Bardzo proszę usadowić mnie obok cadyka rabi Josla bałaguły!“.

Szukano Josla wszędzie, ale nigdzie go nie było, chociaż i on nie bawił już między żyjącymi. Prawie w tym samym czasie, co Baruch zakończył swój żywot ziemski. Zostawił swój wóz i konie i niedopitą flaszkę okowity i poszedł przed sąd Najsprawiedliwszego. Odczytano mu całą litanję przekroczeń, awejrot i już

miał pójść na potępienie. Dowiedział się o tem rabi Baruch i pobiegł z raju na obronę swemu zbawcy. Wystąpił przed tron Najmiłościwszego i wstawił się za Joslem. Wszak on uratował duszę żydowską od niechybnej zguby, a mędrcy nasi uczą, że taki czyn znaczy tyle, co zbawienie całego świata. Zresztą ustępuje Josłowi połowę własnych zasług. Szala zasług przechyliła się tedy na korzyść woźnicy. Dopuszczono Josla do raju. Wrota niebios otwarły się i rabi Baruch wprowadził swego miłego towarzysza Josla bałagułę. Lecz tutaj zaczął się nowy kłopot. Wszyscy błogosławieni w raju zajmują się Torą, śpiewają hymny nabożne, rozprawiają o nauce, a on siedzi jak niemy pośród nich. Nudzi się i klnie aż ciarki przechodzą. Zgłasza się wkońcu do zarządcy Edenu z prośbą, by go wyprowadzono z tego więzienia, bo nie może z nudów wytrzymać, lub żeby sprowadzono mu jego konie i wóz, przecież musi mieć jakieś porządne zajęcie. „I co powiecie“ — mówi Bal-szem do swoich uczniów —„przyprowadzono mu jego konie z wozem, a Josel powozi tam, ładuje towary, smaruje koła, poi i karmi konie, trzaska z bata, woła hajta, wiśta, wio gniady!... klnie i popija z flaszki okowitę i wymachuje rękoma, aby się rozegrzać. Tak Josel bałaguła spędza wybornie swój czas w Gan-Eden. Od czasu do czasu docina swemu towarzyszowi w raju, r. Baruchowi, że nie posłuchał jego rady i pozostał w jeszubie lubelskiej, za-

miast zabrać się do pożytecznej i zaszczytnej pracy i zostać woźnicą."

— — — — — — — — — — —

Skończywszy opowiadanie Bal-szem z zapałem począł odmawiać: „Zu hi s'udata d'Dawid malka — To jest biesiada króla Dawida"!



WALKA O DUSZĘ DZIECKA.

W pewnej wsi mies7kał w nędznej karczemce ubogi arendarz. Dzierżawił karczmę u właściciela tej wsi, który posiadał liczne dobra i był możnym wojewodą.

Magnat ten był gwałtownym i okrutnym dla swych podwładnych; wszyscy przed nim drżeli. Cierpiał i znosił arendarz wiele od swego srogiego pana, ale czegoż nie czyni Żyd dla chleba. Uginał się pod ciężarem różnorakich danin; prowadził ciężki żywot i miał zaledwie na suchy kawałek chleba dla swej rodziny. Jedyną pociechą i szczęściem w niedoli były mu ukochane dzieci. Trudził i mozolił się, by dać im staranne wychowanie. Szczególną miłością i troskliwością otaczał najmłodszego swego synka. Było to prześliczne dzieciątko o anielskiej twarzyczce, obdarzone nadzwyczajnemi zdolnościami i niepospolitym rozumem. Jakże wielkie było szczęście rodziców, gdy Efraimek, mając zaledwie czwarty roczek, już zaczął się uczyć z Chumeszu trzeciej księgi „W a j i k r a“, traktującej o ofiarach. W piątym roku znał już całą Torę z komentarzem Raszego, jak dorosły Żyd i przystąpił nawet do studjum Talmudu.

* * *

Pewnego razu przejeżdżał koło karczmy dostojny magnat. Przed domem Żyda zobaczył czarującego chłopczyka. Zatrzymał powóz i kazał przywołać arendarza. Strwożony Żyd wybiegł do groźnego pana i pokłonił mu się aż do ziemi. „Słuchaj Moszku! (każdego pachciarza nazywano tak), jesteś mi dłużny za kilka kwartałów, płacisz nieregularnie, nie lubię tego...“ „Tak, jasny Panie — Bóg mi dopomoże.“ — „Ale uważasz Żydzie, zostawmy to narazie“ — rzekł pan; — „wiesz co, oddaj mi swego synka, a ja ci za to daruję dług i karczmę na zawsze.“ — „Wielmożny panie — błagał ojciec — na cóż ci żydowskie dziecko?“ — Magnat wpadł w pasję, nie dał dokończyć Żydowi i powiedział ze złością: „Jutro w południe przyjdź do pałacu, przynieś cały dług, inaczej każę cię zaraz wyrzucić z karczmy i wygnać z twoimi bachorami ze wsi do wszystkich biesów. Co do dziecka namyśl się dobrze, pogadaj ze swoją żoną Ryfką... wszak wiesz, że nie znoszę krnąbrnych“...

Następnego dnia Żyd poszedł do pałacu, chociaż wiedział, co go tam czeka. Grosza nie miał przy duszy, a o dziecku bał się nawet pomyśleć.

Magnat rozmawiał z nim najpierw uprzejmie. Ofiarował mu za dziecko karczmę i kilka morgów pola. Przedstawił mu jakie szczęście czeka chłopca; przyjmie go za własnego syna, da mu wielkopańskie wychowanie, a ponieważ jest bezdzietnym, uczyni go dziedzicem całej fortuny. Ojciec rzucił się do nóg pana i błagał: „Dobrodzieju! Zostaw mi mego synka, po-

cóż ci dziecko żydowskie?“ Magnat uniósł się gniewem i krzyknął: „Co za zuchwałość! Jak śmiesz nędzny robaku sprzeciwiać się mej woli — czy mało ci, że u mnie wyrośnie na możnego pana? A czemże będzie u ciebie: oto ciemnym, nędznym Żydem, takim jak ty i jak twoje obdartusy...“ — — —

Żyd jednak nie dał się przekonać i nie ustąpił. Wtedy magnat przywołał swoich pachołków i kazał Moszka wyrzucić z pałacu i na odchodnem wyliczyć mu sto bizunów.

* * *

Biedny ojciec, pokaleczony i obszarpany, dowlókł się ledwie żywy do domu. Nadomiar nieszczęścia napadli tej samej nocy zbrojni hajducy magnata na dom Żyda. Zniszczyli wszystkie sprzęty, wyrzucili całą rodzinę z karczmy i wypędzili ze wsi. Przy tem jeden ze zbirów porwał chłopczyka. Ojciec ostatkami sił bronił dziecka, ale opryszek uderzył go oszczepem po głowie, a ojciec zalany krwią runął na ziemię i w oczach dziecka wyzionął ducha. Zgraja w triumfie wróciła do pałacu z porwanem dzieckiem.

Osierocona rodzina przeniosła się do pobliskiego miasta; pozbawiona żywiciela popadła w skrajną nędzę.

* * *

Chłopaka zatrzymał wojewoda u siebie. W pierwszych tygodniach dziecko płakało i rozpaczało. Zczasem jednak zapomniało o wszystkiem. Uważało magna-

ta za swego ojca i książęcy pałac za swój dom rodzicielski.

Minęły lata. Chłopak podrósł na przecudnego młodzieńca. Odznaczał się wybitnemi zdolnościami. Magnat powołał sławnych profesorów i poruczył im wychowanie swego jedynaka. Wszyscy go pokochali, podziwiali i rokowali mu świetną przyszłość. O swojem pochodzeniu nie miał pojęcia, wyrósł w przekonaniu, że jest potomkiem dumnego rodu pańskiego, przyzwyczajonego patrzeć z lekceważeniem i wzgardą na ludzi niższych warstw.

Pewnego razu jednak przyszedł do domu ze szkoły zrozpaczony i płacząc opowiadał magnatowi, że jakiś kolega, obraził go śmiertelnie, wyrzucając mu, że jest Żydem, synem Moszka arendarza. Wojewoda uspokoił go i obiecał surowo ukarać zuchwalca. Po tem zdarzeniu przez długi czas nic nie zamąciło jego spokoju. Młodzieniec zajaśniał zdolnościami, zdążał wytrwale ku doskonałości. Sława jego rosła z każdym dniem, widziano w nim przyszłego wielkiego genjusza, uważano go za dumę narodu.

*

Pewnego wieczora odbyła się wspaniała zabawa w pałacu magnata. Zjechali się na nią wielcy panowie i dygnitarze z całego państwa. Młody mistrz objawił niezwykłe zdolności wobec najwybitniejszych przedstawicieli całego społeczeństwa. Olśnił blaskiem swego talentu zebranych. Okazał się jednostką tak wybitną, że trudnoby znaleźć drugą taką pośród narodu.

Dopiero późno w nocy udał się wychowanek magnata na spoczynek. Zmęczony rychło zasnął. Nagle uczuł we śnie, że ktoś dotyka jego ramienia. Otworzył oczy i ujrzał ze zdziwieniem przed sobą jakiegoś Żyda. Tajemniczy gość strasznie wyglądał: szaty jego podarte w strzępy, powalane błotem, ciało pokryte sińcami, a z głębokich ran sączyła się krew. Młodzian przyjrzał mu się uważnie, przypomniał sobie, że już kiedyś widział tę postać. Przybyły ujął go za rękę, spojrzał nań błagalnym wzrokiem i przemówił serdecznie: „Synu mój, wstań i pójdź ze mną! Jam twój ojciec, a tyś dzieckiem żydowskiem. Bezduszny wojewoda zabił mnie, matkę i rodzeństwo twoje wtrącił w przepaść nędzy, a ciebie porwał, aby wychować na wroga twego biednego narodu. Jutro stajesz się pełnoletnim — Bar — micwa. Odtąd odpowiadasz za swoje czyny. Nie możesz tutaj dłużej zostać. musisz wrócić do swego narodu. Należysz do niego — lud twój tęskni za tobą. Obdarzył cię Bóg szlachetną, świętą duszą, ona należy do twego nieszczęśliwego narodu. Obecna chwila decyduje o twojem wzniosłem posłannictwie. Gdybyś tutaj nadal pozostał, przepadniesz na zawsze dla swoich; święta dusza będzie stracona dla Izraela.

Wstań zatem bezzwłocznie, uciekaj stąd, nie oglądaj się za sobą, każda chwila jest ważna. Zaprowadzę cię do twoich braci, czekają już na ciebie!“ — — — Młodzieniec bez namysłu zerwał się z łóżka, zarzucił na siebie odzież i poddał się woli ojca. Żyd ujął go za

rękę, otworzył okno i porwał ze sobą. W ciemności, co tchu, pędzili przez pola, lasy i góry.

* * *

Magnat spał w komnacie obok pokoju młodzieńca. Usłyszawszy jakiś szelest, zbudził się zaniepokojony, wbiegł do pokoju i właśnie zobaczył, jak młodzieniec wyskoczył przez okno z jakimś strasznym żydem. Zaalarmował cały swój dwór. Na czele zbrojnych hufców puścił się w pościg za zbiegami. Zaczęła się piekielna gonitwa. Magnat był przytem strasznym czarnoksiężnikiem. Za pomocą swoich czarów odnalazł ślad zbiegów. Z chyżością wichru dążył za nimi i już widział ich zdaleka. Spostrzegłszy wychowanka donośnym głosem zaczął wołać: „Stój chłopcze, opamiętaj się, nie czyń tego głupstwa, dokąd uciekasz z tym przeklętym żydem? Czemu opuściłeś nasz okazały dwór, czy nie starałem się dać ci wszystko, czego dusza zapragnie? Co ty masz wspólnego z tym przeklętym żydem i z jego nędznym tłumem? Tam niema miejsca dla Twego genjuszu. Pomimo tego boskiego daru zostaniesz tam domokrążcą, faktorem, włóczęgą i t. p., jak wszyscy żydzi. A u mnie czekają cię zaszczyty i bogactwa. Cały świat stoi dla ciebie otworem. Twój genjusz zajaśnieje, staniesz się sławnym i nieśmiertelnym. Opamiętaj się, zostaw tego wstrętnego żyda i jego plemię. Wracaj z ciemności do światła i blasku!“ — — — —

* * *

Młodzieniec zadrżał, ale ojciec mocniej ujął jego rękę i błagalnie szeptał: „Nie słuchaj, mój synu, te-

go szatana kusiciela! Ze mną — wracaj do swoich. Tam, u nich, ty zbyteczny, oni żyją szczęśliwie na swojej ziemi — a twój naród tuła się na obczyźnie, jęczy w niedoli. Raz na tysiąc lat zsyła Bóg na świat bezcenny klejnot, taką wzniosłą duszę, jak twoja. Twój naród czeka na nią... Pójdź do swoich, rozżarzyć ich, jak iskra święta. Idź do twego ludu z proroctwem na ustach, tam twój świat, tam twoje pole działania. Wielka twa dusza się tam tylko wyżyje. Zaświeć pochodnię swego genjuszu, wskaż mu drogę do samoistnego bytu. Skrusz kajdany, prowadź ich do wolności... Pędźmy, uciekajmy!“...

Tymczasem droga stała się coraz uciążliwsza. Ostre kamienie, ciernie i kolce raniły im stopy. Tu wznosiła się stroma góra, a tam znów rozwierała się bezdenna przepaść.

Nagle niebo zakryło się czarnemi chmurami. Zerwała się burza. Deszcz lunął strumieniami. Huczał grom za gromem. Oślepiające błyskawice przeszywały powietrze. W podmuchach wichury słychać było syk żmij i wycie żarłocznych wilków.

Młodzian wyczerpany trząsł się jak w febrze. Ogarnęła go trwoga, włosy najeżyły mu się na głowie ze strachu, resztki sił go opuściły, potknął się o kamienie i runął na ziemię, raniąc nogi o ostre krawędzie.

W tej chwili magnat tak się do nich zbliżył, że usłyszeli jego kuszące słowa: „Zatrzymaj się, biedny chłopcze, odpędź tego złowrogiego Żyda — wracaj do

wygód i beztroski — szczęście całego świata będzie twoje“.... Wyjął z zanadrza zaczarowane skrzypce i zaczął grać, wabiąc piekielną melodją chłopca do siebie...

Młodzieniec podniósł się, stanął, zabrakło mu tchu, zatrzymał się.

„Ojcze — błagał — nie mogę pójść dalej z tobą, jestem znużony i wyczerpany zupełnie, — — — — — boję się bardzo ciebie... jesteś taki straszny, niesamowity, a twój naród, ten wzgardzony tłum, jest mi tak obcy, tyle słyszałem o jego przewrotnościach, nienawiści i zemście... A możny pan tak mnie woła, tak mnie prosi, u niego wesoło, jasno — u was zaś smutno i ponuro...“

„Bóg z tobą, synu! Ratuj swą żydowską duszę, odwagi, — prosił ojciec — jeszcze jeden wysiłek i będziesz ocalony! Żyd nie cofa się, nie zna lęku! — Patrz na moje rany, na moje skrwawione serce, znosiłem piekielne katusze dla ciebie.“

Wtem dopadł ich okrutny wojewoda ze swoimi rycerzami. Zaczęła się zażarta walka o duszę dziecka. Stoczyli bój na życie i śmierć. Chłopak z przerażenia zemdlał, runął na ziemię, jakby martwy. I nagle stało się coś niepojętego. Wątły, skrwawiony Żyd uderzył obuchem olbrzymiego wojewodę tak mocno, że ten się zatoczył i upadł. Jego rycerze skamienieli ze strachu, nie mogąc się ruszyć z miejsca. Ojciec wyrwał wtedy chłopca z rąk okrutnika, włożył go sobie na barki i znikł z nim w przestworzu.

Młodzieniec przyszedł nareszcie do siebie. Gdy otworzył oczy, widział, że znajduje się w jakimś okazałym gmachu. Ze wszystkich okien wpadało jasne światło słoneczne. Ciekawie rozejrzał się wokoło — przypomniał sobie, że jako malutkie dziecko był już kiedyś tutaj z rodzicami. Poznał, że to synagoga. Tak — przypomniał sobie — chodził niegdyś do tej synagogi w czasie wielkich świąt. Przed oczyma stanęły mu gromady pobożnych — młodych i starych, otulonych w białe tałesy. I oto teraz było tak samo, jak ongiś w dzieciństwie. Obok niego siedział znowu jego ojciec całkiem owinięty tałesem i modlił się z Machzor. Na balkonach siedziały poważne kobiety i szeptem odmawiały nabożne modły. Na wschodniej ścianie synagogi otwartą była arka z rodałami Tory. Spojrzał na zebranych; twarze ich jaśniały, pokornie stali przed Panem. Jakże się zmienili ci ludzie, którzy w dzień powszedni byli domokrążcami, pośrednikami, kupczykami — teraz uduchowieni i uszlachetnieni. Zdawało mu się, że to królewicze, których zaczarował wpierw złośliwy czarnoksiężnik — a teraz zniknął czar i przyjęli swój prawdziwy królewski wygląd. Zabrzmiał pełen słodyczy głos kantora i chóru, wzniosła się cicha, łagodna pieśń: „Adonaj, adonaj, el rachum wchanun!" „Panie! Panie! Boże miłościwy i łaskawy; cierpliwy pełen dobroci i prawdy!" Wtórował mu cały lud. Świątynia pełna była majestatu Bożego. Wszyscy połączeni jedną myślą, jednem uczuciem — podobni raczej do aniołów Pańskich — modlitwa płynęła poważna,

wzniosła i szczera. Odbijała się w niej cała dusza żydowska, jej dola i niedola, szczęście i bóle, udręki i nadzieje. Bez słowa skargi, bez żalu i narzekania, pomimo ran i katuszy, pomimo tułactwa i poniewierki. Jakaś bezgraniczna miłość do bliźnich, do ludzkości, jakaś bezbrzeżna ufność w nieprzebrane miłosierdzie Ojca wszystkich istot.

Szczere słowa modlitwy wznosiły się w przestworza, jak cudowne kwiaty, rajska woń napełniła przybytek, niebo się otworzyło, przylecieli cherubini i uwili z tych prześlicznych kwiatów wieniec i położyli go u stóp tronu Przedwiecznego...

Zdawało mu się wtedy, iż rodały świętej Tory wyszły z arki, przystąpiły do niego, powitały go serdecznie i przemówiły: „Dobrze, żeś przyszedł do nas. Długo czekałyśmy na ciebie. Dziś wystroiłyśmy się na twoje przyjęcie. Włożyłyśmy nasze królewskie korony i szczerozłote tarcze. Spodziewałyśmy się twego powrotu. Pozostań z nami — pozostań na zawsze!“

Efroim podziękował im za przyjęcie, przycisnął je do siebie i ucałował z całego serca.

* * *

Młodzieniec przejrzał. Jak warstwa lodu topnieje pod promieniami wiosennego słońca, tak odtajała jego dusza. W domu bożym odrodziło się dziecko żydowskie — zatracony syn wrócił do domu rodzicielskiego. Ujął siedzącego obok ojca swego i szeptał: „Ojcze mój, nie wrócę więcej tam do niego — zostanę na za-

wsze u swoich braci. Chcę dzielić ich dolę i niedolę; będę żył z nimi i dla nich. Tutaj moje miejsce. Jam ciało z ich ciała. Razem będziemy pracowali i walczyli o naszą przyszłość. Musimy skruszyć okowy niewoli i wyrwać się z ciemności na wolność i światło. Ślubuję Żydostwu wierność do ostatniego tchu, tak mi dopomóż ojców mych Boże!“



WILK BŁOGOSŁAWIENSTWEM .

Przed laty żył w naszem mieście pewien bardzo zamożny obywatel. Posiadał ogromny majątek i mieszkał w wspaniałym pałacu. Po wczesnej stracie całej rodziny, żył samotnie w swoich bogatych komnatach i tylko stary sługa zarządzał jego gospodarstwem. Stronił od ludzi, przesiadywał zawsze w domu i jak mówiono powszechnie, liczył tylko pieniądze, a miał ich tyle, że nie mógł ich przeliczyć. Pomimo ogromnego majątku był okrutnym skąpcem i sercu jego obce były wszelkie uczucia szlachetne. Nie znał miłosierdzia, nie odczuwał niedoli bliźnich. Nawet gdy starszyzna gminy prosiła go o wsparcie dla sierót i wdów lub gdy przed Pesach zbierano na macoth dla najuboższych, drzwi im pokazywał. Wszyscy przeto stronili od niego i nazywali go „Złym Wilkiem“ uważając go za wyrodnego syna Izraela.

Wszystko zło, jakie spadło na ludność, miało swe źródło w tym niedobrym bezlitosnym człowieku-wilku — jako kara za jego zatwardziałość — tak mówili ludzie.

Na szczęście żył u nas równocześnie inny obywatel dobroczynny i cnotliwy. Mieszkał w skromnym domku obok pałacu Wilka. Ale jakże się różnili ci dwaj sąsiedzi od siebie. O ile pierwszy był nieuczynnym i prze-

wrotnym, o tyle drugi był wzorem dobroci i szlachetności. A chociaż ciężko pracował na utrzymanie swej licznej rodziny, łożył wiele na cele dobroczynne. Dom jego stał zawsze otworem dla potrzebujących. Głodnych karmił, obdartych przyodziewał. Był ojcem sierót i opiekunem ubogich. Sobie nie zbudował pałacu, lecz mieszkał w skromnym domku, ufundował natomiast wspaniały zakład dla sierót. Wdzięczny lud zwał go „B'racha". — Błogosławieństwem.

Minęły lata. Zestarzał się i posiwiał zacny Bracha-Błogosławieństwo. Nie ustawał jednak ani na chwilę w swem pożytecznem działaniu. Zestarzał się i posiwiał również i zły Wilk, ale stał się jeszcze zjadliwszym. Serce jego pozostało twarde jak głaz.

Nadeszły wreszcie dla Wilka ponure dni. Dotkliwa choroba przykuła go do łoża boleści i długo pokutował za grzechy swego życia. Przez cały czas jego choroby nikt o niego się nie troszczył i nikt go nie odwiedzał. Tak jak żył tak i umarł samotny i opuszczony. Wieść o jego zgonie nie wzruszyła nikogo. Na cmentarzu pochowano go na uboczu i nikt nie odmówił na świeżej mogile modlitwy „Kadisz".

*

Zima była ostra i ciągnęła się nadzwyczaj długo. Nastały ciężkie czasy dla biednych. Szalała drożyzna i trudno było o zarobek. Dużo dzieci uczęszczających do szkół nie miało odzieży ciepłej i kawałka suchego chleba. Starszyzna gminy postanowiła udać się do zamożniejszych obywateli i zbierać dla ubogich braci.

Zaczęli jak zwykle od B'rachy, najhojniejszego dobroczyńcy, któremu przedstawili swoją prośbę. Wtedy Baracha-Błogosławieństwo ze łzami w oczach im odpowiedział: „Zacni Panowie, byliście zawsze w błędzie! To wszystko, co czyniłem, było dziełem... Wilka. Przez moje ręce rozdawał on swój majątek. Nie chcąc, by ludzie zwali go dobrodziejem, nie chcąc odbierać podziękowań, posyłał mnie. Nie ja, lecz ten Wilk był waszem błogosławieństwem. Obecnie, skoro nie żyje nasz wielki dobroczyńca, gdy nie bije już więcej to szlachetne serce, skądże mam wziąć dla waszych biedaków? A co do jego spuścizny, oto jego testament! Przed śmiercią wręczył mi go z poleceniem, bym go wam oddał."

Starszyzna natychmiast otworzyła testament Wilka. Wedle ostatniej woli przeznaczył on pałac swój na szkołę rzemieślniczą, a resztę swego majątku na utrzymanie tej szkoły oraz dla sierót, umieszczonych w zakładzie wzniesionym przedtem za pośrednictwem Berachy.

Lotem błyskawicy rozeszła się ta wieść po całem mieście. Wszyscy przejrzeli. Poznali, jak niesłusznie krzywdzili tego wielkodusznego obywatela. Następnego dnia urządzono w synagodze żałobne nabożeństwo i odmówiono „Kadisz" za duszę wspaniałomyślnego dobroczyńcy. Niebawem przebudowano piękny pałac, wedle jego ostatniej woli, na szkołę przemysłową. Na murach tej szkoły umieszczono złotemi literami napis: „Wilk-błogosławieństwem".